



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca na Wschodzie

ROK II Nr 31 (35)

NIEDZIELA, 22 LISTOPADA 1942 R.

CENA 20 FLS.

CZY WIELKIE POKOLENIE?

Czy historia wyda o naszym pokoleniu sąd, że było wielkie, że spełniło swe obowiązki i stanęło na wysokości współczesnych zadań dziejowych? Nie ulega wątpliwości, że żadna bodaj generacja polska nie była obciążona tak wielkim trudem i tak ciężką odpowiedzialnością. Żadnej też nie wypadło żyć w epoce tak doniosłej, na tak wielką zakrojonej miarę, wobec której błędnie nawet epopea napoleońska z jej burzliwym przebiegiem i daleko sięgającymi następstwami.

Były już w dziesiątkach naszych okrzyszów bardzo ciężkie. Królówie Kazimierz Odnowiciel i Jan Kazimierz powracać musieli z wygnania do kraju zalanego wrogim popoem. Za gony tatarskie zorywały ziemię polską przez całą szerokość, by załamać się dopiero na Śląsku. Przeżyliśmy całą gehennę rozbiorów, bohaterkich powstań, ponurych zesań i prześladowań, rozpaczliwych wysiłków w walce o wolność. Nie są więc nam obce trudy i znoje, boje gigantyczne i morza przelanej krwi, ogromy cierpień i zmagañ heroiczych. Nie było wszakże wysiłku narodu tak powszechnego w swym przekroju społecznym, jednoczącego dosłownie cały kraj i wciągającego wszystkie jego warstwy do walki. Nigdy też świadomość znaczenia toczącego się boju nie była tak oczywista dla wszystkich. Naród polski w ciągu swych dziejów nie pojmował z taką nieubłaganą wyrazistością konieczności walki o własne państwo, o własną rację stanu, jak w obecnych zmaganiach. Zrozumienie istoty własnej samodzielności, znaczenia swego państwa, pogłębiło się dzięki wojnie obecnej tak dalece, że właśnie ten fakt nadaje prowadzonej przez nas walce cechy szczególnej i wyjątkowej. Wbrew i na przekór woli i dążeniom naszych wrogów dojrzałość polityczna naszego kraju poczyniła w ogniu obecnej wojny takie postępy, na które w normalnych pokojowych czasach wypadłoby nam czekać długie może jeszcze lata.

Polska niewątpliwie zdaje dziś chlubnie egzamin, patrząc na walkę obecną jak na nieubłaganą dziejową konieczność. Kraj nasz nie widzi w tej wojnie ani opętającego samopalenia na stosie, ani rozpaczliwego rzucania się w przepaść, ani też przygodny pełnej romantycznych przeżyć. Nie jest to już tylko wojna — pani, za którą szli chłopcy malowani — wojna lekkich piosenek i niefrasobliwego humoru, ale twarda, surowa w swej zaciętości walka o byt. Przez cały wiek XIX przyzwyczajano się patrzeć za granicą na Polskę z uczuciowego głównie punktu widzenia, jak na nieszczęsny męczenniczy zepustę Europy. Polska była poniekąd symbolem romantyzmu, sztandarem i pochodnią obozu rewolucji

i wolności. Dziś nasze pokolenie, kraj nasz cały nie daje obrazu Polski omdlewającej w cierpieniu, słabnącej z wycieńczenia i zebrzącej o słowa współczucia wśród szlacheńskich narodów świata. Świat ma przed sobą Polskę walczącą, twardą, żołnierską, przeciwstawiającą się bez wytechnienia z całą energią i wolą dojrzałego narodu przemocy wroga. Polska nie tyle chce wzruszać, co żądać, by liczone z nią jako z konkretną siłą polityczną.

Wojna stworzyła nowy styl w postawie narodu. Styl dostosowany do czasów współczesnych, które są twarde i ciężkie. Jest to styl, który nakazuje stanąć ponad osobiste pragnienia, ponad wszystkie prywatne

Wojna polsko-niemiecka stała się powodem jednego z największych kryzysów światowych. Kryzys ten doprowadzi niewątpliwie do przemian bardzo doniosłych. Tylko ludzie pozbawieni wyobraźni mogą przypuszczać, że po wojnie powrócimy gładko do tego, co było przed jej wybuchem. Zmiany będą głębokie i obejmą wszelkie dziedziny, społeczne, gospodarcze, polityczne. Dojdzie też do nowego układu sił międzynarodowych, do nowej hierarchii mocarstw. Ustali się zapewne nowy porządek rzeczy na świecie, być może na długie lata.

Porządkowanie świata wymagać będzie z naszej strony nowego wysiłku. Nie ludźmy się, że Polskę otrzymamy w darze za nasze dotychczas-

kich mocarstw — Anglii, Francji — które zwyciężyły w poprzedniej wojnie światowej. Dziś błędy te są dla obcych bardziej widoczne i można mieć nadzieję, że nie będą powtórzone, lecz liczyć się musimy z niezrozumieniem, jakie pewne koła w Anglii i w Ameryce okazują wciąż dla spraw polskich. W wieku XIX zresztą wiele światłych umysłów politycznych na zachodzie uznawało błąd, jaki popełniono dopuszczając do upadku państwa polskiego, które zawsze było czynnikiem równowagi europejskiej. Przekonanie to jednak nie dało nam samo przez się Polski wolnej, która mogła być przywrócona do bytu jedynie własnym wysiłkiem narodu. Dziś również opinia na zachodzie i w krajach anglo-saskich — za wyjątkiem kół ulegających złudzeniom politycznym — powita napewno z zadowoleniem powstanie Polski silnej i wielkiej, ale jej budowa naszym będzie musiała być dziełem.

Znalezienie właściwego miejsca dla Polski od nas w decydującym stopniu będzie zależało. Od tego, czy nasza myśl, nasza wola i energia słać będą do końca na wysokości zadań współczesnej epoki, od tego, czy potrafimy nie tylko dostosować się do nowych czasów, ale i narzucać im w wielu wypadkach własny punkt widzenia, odróżniając w nowych poglądach rzeczy słuszne od błędnych, trwałe od przemijających, wartości istotne od złudzeń. Potrzebny tu będzie z naszej strony wielki wysiłek twórczy.

Wojna, która przyniosła nam dotąd tyle nieszczęść, dać nam może w swym wyniku jedyną na dziesiątki lat szansę nie tylko ugruntowania odzyskanej w r. 1918 niepodległości, ale i zdobycia dla Polski siły, autorytetu i wielkości. Tej szansy nie będzie nam wolno zmarnować w chwili, gdy kończące się zmagania skłaniać nas raczej będą do odpoczynku. Wówczas bowiem, w tym ostatnim kwadransie walki, rozstrzygać się będzie przyszłość. Do końca nie będzie nam wolno obniżyć lotu.

Wykorzystując nieszczęścia, które na nas spadły, starano się niejednokrotnie z obozu naszych wrogów podszeptywać nam myśli, że gdybyśmy w roku 1939 wyrzekli się takiego lub innego skrawka naszej ziemi, lub części naszej udziałności, kto wie, czy nie uratowalibyśmy reszty. Perfidnie te myśli próbowano szyć nam jeszcze przed wojną. Naród polski odrzucił je wówczas z pogardą. Odrzucił je nadal dziś w najcięższych warunkach, dając dowód swej niezłomności i rozumu politycznego. Konsekwentną tę postawę musimy zachować do końca nie zapierając się ani na chwilę zasad — za wolność naszą i naszą — w których obronie przystąpiliśmy do walki.

(Dalszy ciąg na str. 2-ej)



uczucia i rozgrywki, który nakazuje tłumić w sobie i żal i cierpienia i tęsknoty. Wojna żąda od nas wyrabiania w sobie wytrwałości, woli, charakteru. Nie domaga się od nas cierpiętnictwa, z którym walczył już Wyspiański. Chce widzieć w nas ludzi, których nie nie zdoła załamać, lub skłonić do spoczenia na laurach.

Chodzi tylko o to, byśmy styl ten potrafili zachować do końca nie ustając w połowie drogi, nie deklarując nagle, że „swoje” wobec kraju już zrobiliśmy. Tylko zwycięski wynik wojny oraz wygranie również pokoju zdoła wynagrodzić i pomścić ogrom nieszczęść, jaki spadł na nasz kraj. Zale nasze lub współczucia innych niewiele nam w tym dążeniu pomagają.

Lecz na zajęciu właściwej postawy psychicznej nie wyczerpują się zadania naszego pokolenia. Nie tylko rozmiar tej wojny jest wyjątkowy, ale i jej głęboki sens.

sowe ofiary i cierpienia bez dalszych z naszej strony wysiłków. Nie ludźmy się tym, że przyjdzie do gotowego, a resztę załatwi konferencja pokojowa. Traktat Wersalski uznał niepodległość Polski, lecz ile spraw pozostawił niezadowolonych, a ile załatwił źle, obejmując nasz kraj pasmem ropiejących ran, co na kilka lat przedłużyło na naszych ziemiach stan wojenny. Nieu regulowane granice na wschodzie, plebiscyty na Śląsku, na Warmii oraz na Mazurach, wrzód gdańskich, który przyczynił się do wybuchu drugiej wojny światowej — oto niektóre kule rzucone pod nogi budzącego się do nowego życia państwa polskiego. Konferencja pokojowa nie uwzględniła polskiego punktu widzenia nie tylko na sprawę Śląska, Gdańska i Prus Wschodnich, ale również na zagażnienie rozumu uregulowania spraw Europy środkowej. Wszystkie te błędy nie tylko osłabiły Polskę, ale w dalszej konsekwencji, jak się okazało, również pozycję wiel-

Niemiecka licytacja nieszczęść

NOWE WYDANIE

„NA ZACHODZIE BEZ ZMIAN”

Niedawno urzędowy hitlerowski „Voelkischer Beobachter” zamieścił reportaż z frontu wschodniego utrzymany w barwach tak ponurych, że przypominają fragmenty znanej powieści Remarqu'a p. t. „Na Zachodzie bez zmian.” Jak wiadomo, powieść ta, za jej nastawienie pacyfistyczne i antimilitarystyczne, została w Rzeszy Hitlera zabroniona. Nie mniej jednak dziś hitlerowska urzędówka w pesymizmie i makabryczności przeszła znacznie wykletego Remarqu'a.

W reportażu, „Voelkischer Beobachter” czytamy m. in. takie zdania: „patrz — pisze niemiecki korespondent — na ziemiście szare twarze żołnierzy niemieckich. Siedzą oni w głębokich okopach pozbawieni często po 20 dni ciepłej strawy, gdyż ogień nieprzyjaciela uniemożliwia jakikolwiek transport. Przypomina mi się fotografia mojego ojca z okresu tamtej wojny światowej, kiedy to i on był równie wychudły i zbiedzony, jak ja dziś...”

Cytowany reportaż nie jest obecnie zjawiskiem odosobnionym. Już od dłuższego czasu radio i prasa maluje w niezmiernie czarnych kolorach życie żołnierza niemieckiego. Wylicza się setki trudności, okropności i kłopotów biadając nad owym „nieszczęsnym” niemieckim żołnierzem.

Każdy obserwator polityki niemieckiej musi sobie zadać pytanie, co to właściwie oznacza i jaki jest cel tej zmiany rejestrów w propagandowej symfonii pana Goebbelsa. Rozkaz malowania sadzą losów żołnierza niemieckiego musiał wyjść z góry. Przecież żaden korespondent niemiecki nie pisze ani tego co widział, ani tego co myśli, tylko to co mu kazał! Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że nakaz przedstawiania na czarno losów żołnierza niemieckiego podyktowany został wzrastającą depresją i przygnębieniem społeczeństwa niemieckiego.

LICYTACJA NIESZCZĘŚĆ

W chwili obecnej jesteśmy świadkami jedynej w swoim rodzaju licytacji nieszczęść w Niemczech. Licytacja ta prowadzona jest pod hasłem: komu jest gorzej, czy tym w kraju, czy tym na frontach. Celem tych

wszystkich biadań w prasie i w radio na temat niemieckiego żołnierza jest chęć wykazania społeczeństwu w Rzeszy, że mimo braków i trudno ści, mimo niedojadania i przeciążenia pracą, nie powodzi mu się tak źle jak żołnierzowi na froncie. Wszystkie zresztą owe żale na temat dołi niemieckiego żołnierza kończą się zwykle apelem do cywila: nie narzekaj, bo tobie i tak mimo wszystko jest lepiej.

Nie musi być w tej Trzeciej Rzeszy zbyt dobrze, jeżeli niemiecka propaganda chwytą się aż takich środków.

Z informacji, jakie ukazują się od do czasu na łamach prasy brytyjskiej i sojuszniczej, wysnuć można

wnioski, że istotnie sytuacja — na niektórych zwłaszcza odcinkach — w Rzeszy nabierać zaczyna cech kryzysu. Wydaje się prawdopodobnym, że cała wytwórczość sprzętu zwłaszcza ciężkiego z uprzedniego okresu rocznego w całości zużyta została na pokrycie strat. Również pewne wiadomości wskazują na to, że Niemcy wprowadzili nie zmniejszyli nominalnej ilości wielkich jednostek operacyjnych, lecz nie mniej jednostki te są mocno uszczuplone i to zarówno w odniesieniu do materiału ludzkiego jak i sprzętu. Pojawiają się również w prasie głosy, które świadczyłyby, że jakość nowo wytwarzanego sprzętu wojennego wyraźnie się obniżyła.

WOJNA TO NIE BUDOWANIE PIRAMID

Na ten stan rzeczy złożyło się kilka przyczyn zasadniczych. Niemcy przyłączyli do przemysłu mnóstwo robotników do wojska, zatrudniając równocześnie w przemysłach wojennych i pokrewnych robotników cudzoziemskich. Praca tych nieszczęsnych ludzi, wśród których jest tak wielu naszych rodaków — nie może być wydajną. Faraonowie egipscy tysiącami niewolników wybudowali olbrzymie piramidy. Ale czy można sądzić, że ci niewolnicy, którzy pod batem i groźbą budowali piramidy, gotowi byli oddać swe życie za faraona? Napewno nie! Otóż wojna totalna, wojna całkowita całego narodu, nie jest budowaniem piramid. Wysiłek zbrojny narodu nie może być budowany na bacie i przymusie, ale na zapale, na dobrej woli, na duchu, na entuzjazmie. Te tłumy nieszczęśliwych nowoczesnych niewolników, które zapelniają fabryki niemieckie, może pod groźbą i przymusem wybudowałyby piramidy, ale wojny ci ludzie dla Hitlera nie wygrają!

DWIE CYFRY

Niemieckiej przemysł sprzętu wojennego interesują dwie cyfry: pierwsza, to cyfra strat, które muszą być natychmiast wyrównane. Oczywiście jest to mało. Gdyby przemysł niemiecki był w możności wyrównywać jedynie straty bez tworzenia rezerw, bez których nie może się obejść żadna armia — oznaczałoby to katastrofę. Cyfra druga, którą musi się interesować Hitler, to wysokość rosnącej stale produkcji amerykańskiej. Teoretycznie, gdyby Niemcy wojnę zamierzali wygrać, to ta właśnie druga cyfra musiałaby być dla nich obowiązująca. Jest rzeczą oczywistą, że Niemcy owego wyścigu żelaza, który podjęli ze Stanami Zjednoczonymi i Anglią, wygrać nie mogą i dziś już sam przemysł amerykański przewyższa wytwórczość przemysłu niemieckiego. Nie wygrają również z nami owego wyścigu krwi i ofiarności, bo dziś w Trzeciej Rzeszy jest zbyt wiele niewolników a zbyt mało ludzi wolnych, zdecydowanych na każdą ofiarę, do specjalnego.

J. S.

St. strzel. Mr.

Sądownictwo pod okupacją niemiecką

Na terenie Gen. Gubernatorstwa istnieją i czynne są dwie organizacje sądownictwa: sądy niemieckie i sądy polskie.

Sądy niemieckie — t. zw. sądy specjalne (Sondergerichte) zostały utworzone na podstawie zarządzenia dozwolstwa niemieckich sił zbrojnych już z dnia 5 września 1939 r. Sądy te tworzone stopniowo, w miarę zajmowania terenów polskich, obecnie istnieją w głównych miastach poszczególnych dystryktów, a więc w Warszawie, w Krakowie, w Radomiu, w Piotrkowie, w Kielcach, w Częstochowie, w Lublinie, Rzeszowie. Sądy te operują z reguły najwyższymi wymiarami kary: to znaczy karą śmierci, w lepszym razie obozem koncentracyjnym.

Pozostałe sądy niemieckie — cywilne i karne I-iej i II-iej instancji, utworzone na początku 1940 r., powołane zostały do życia dla realizacji zasady, iż „Niemiec sądzony być może jedynie przez sędziego Niemca”. Sądy te rozpatrują wszystkie sprawy dotyczące Niemców, zarówno Niemców z Rzeszy, jak i t. zw. Volksdeutscheów (czyli osób zaliczonych do narodowości niemieckiej, a zamieszkałych na terenie okupacji.) Wystarczy by w sprawie zainteresowany był Niemiec w jakimkolwiek charakterze, by sprawa przekazana być musiała sądowi niemieckiemu. W sprawach karnych obowiązuje w tych sądach niemieckie prawo karne: w sprawach cywilnych

obowiązuje w zasadzie polskie prawo cywilne, utrzymane w mocy, poza wypadkami dotyczącymi prawa osobowego, spadkowego, rodzinnego. Po za tymi sądami istnieją sądy wojskowe, których kompetencja ogranicza się do przestępstw o czyny przeciwko armii niemieckiej oraz doraźne sądy policyjne.

Zakres działania sądów polskich określony został w ten sposób, że podlegają im te sprawy, które nie podlegają właściwości sądów niemieckich. Sprawy sądzone są w dwóch instancjach: sędzi si według obowiązującego w Polsce prawa cywilnego i karnego (ostatnie ze zmianami wprowadzonymi przez Niemców). Niezależność tych sądów jest czysto iluzoryczna, podporządkowane są one bowiem sądownictwu niemieckiemu i administracji niemieckiej w drodze nadzoru i w drodze prawa kontroli. Nadzór sprawowany jest przez gubernatora lub kierownika wydziału sprawiedliwości urzędu gubernatorskiego. Mogą oni, „w interesie publicznym”, a w praktyce, kiedy im się podoba, zarządzić ponowne osądzenie sprawy w sądzie niemieckim, mimo prawomocnego wyroku sądu polskiego. Specjalnie groźne jest to, że sprawa może w takim wypadku trafić do sądu specjalnego.

* * *

Ledwie Kraj się otrząsnął z tragicznego Września,
Ledwie wojsko znów poszło w szatach i pieśniach,
Wnet zjawili się skądciś, nikomu nieznanii
Sędziowie cudzych myśli, polskości kapłani.

Emeryci, dewotki, jakby na komendę
Wielką i Świętą Sprawę chcą objąć w arenę.
Bo tylko oni wiedzą, co ból, łzy i skarga,
Więc cześć ten, kto ich słucha, kto nie z nimi — szarga.

A miast krzyżeć: „Nie szargać!” w czekaniu bezpłodnym
Lepiej wziąć się do pracy, mniej szafując Godłem.
Mniej będzie cierpiętnictwa wśród fałszywej wrzawy,
Ze tak się poświęcają dla tej wielkiej Sprawy.

Żołnierz się nie poświęca, gdy walczy w potrzebie,
Gdyż wie, że to dla swoich, za kraj swój, dla siebie.
I to jest jego credo i cel jego święty,
Nie awans. Nie posada. Nie frazes nadepty.
A historię On pisze. Bagнетem. Najprościej.
I wara komu szargać te jego świętości!

Arp.

Tadeusz Wittlita

CZY WIELKIE POKOLENIE?

(Dokończenie ze str. 1-szej)

Przed wiekiem, po powstaniu listopadowym, nazwano nasze wychodźstwo polityczne, działające wówczas głównie we Francji, a również w Anglii, Turcji, na Bałkanach, a nawet w Egipcie „wielką emigracją”. Była to emigracja wielka nie tylko przez dobór wybitnych jednostek, z jakich składała się, ale przede wszystkim, dlatego, że była wierna bez względu na przekonania — hasłu Polski wielkiej.

Dla naszego pokolenia, sięgającego również po tytuł wielkości, jest to przykład najbardziej może warty mowny. W wieku XIX istniały w naszej opinii dwa poglądy na walkę z wrogiem. Jedni radzili dostosować się do rozbiorów, pogodzić się na razie z losem, by stopniowo na drodze politycznej wyjednywać coraz to dalsze uprawnienia dla kraju. Była

to szkoła realistów. Inni nawet pozornie nie chcieli wyrzekać się niepodległości, będąc zwolennikami walki bezpośredniej i bezkompromisowej. Tych nazywano nieraz fantastami. Doświadczenie okazało, że politykami najmniej realnymi byli właśnie realisci. Choć polityka ich nieraz odawała narodowi usługi, znajdowali się oni na drodze, która nie wiodła do niepodległości. Polityka realna okazała się postępowanie tak zwanych fantastów, zwolenników metody walki bezpośredniej. Oni otworzyli szlak dla żołnierza polskiego, dochodzącego z bronią w rękę praw całego narodu. Na tej drodze znajdujemy się dziś znowu. Tylko ona zdolna jest doprowadzić kraj nasz do wielkości. Tylko ona pozwoliła zdobyć należne miejsce w historii dla naszego pokolenia.

JESTEŚMY, CZĘŚCIĄ POLSKI...

Przemówienie gen. Andersa w Dzień Zaduszny

W niedzielę, dn. 1 listopada, jako w dzień Wszystkich Świętych, odbyła się na cmentarzu wojskowym w m. p. jednej z dywizji żałobna uroczystość, poświęcona wczczeniu zmarłych w drodze do wolnej Polski żołnierzy Rzeczypospolitej.

Panu generałowi Andersowi przybyłemu w otoczeniu wyższych oficerów złożył raport dowódca całości, po czym duchownictwo rozpoczęło modły. Jeden z kapelanów wygłosił następnie kazanie, podnosząc, że w dniu Wszystkich Świętych Polska żywych składa hołd Polsce umarłych. Cmentarzysko to pozostanie na długie lata jednym z pomników naszej wędrowni tułaczce, a dla nas współczesnych będzie symbolem wszystkich polskich cmentarzy, rozsianych niemożliwie po całym świecie, bo w tajgach Sybiru, śniegach Narwiku, wśród gorących piasków Pustyni Libijskiej, wreszcie w falach mórz i oceanów. Potem chór żołnierski odśpiewał „W mogile ciemnej”, a orkiestra wykonała marsza żałobnego Chopina.

najbliżsi, co tam pozostali, — to wszyscy jest dziełem krzyżackiej ręki.

Dlatego dziś, w tym dniu, kiedy każdy napewno czuje koło siebie swego ojca lub matkę, brata, żonę lub dziecko, swych najlepszych przyjaciół, — ten dzień robi napewno każdego z nas żywych silnym, stalowym i nieubłaganym. Ja wiem, że więcej do niewoli nie pójdę i wiem, że i wy myślicie tak jak ja. To co przeszliśmy, zahartowało nas na śmierć i życie. Nas jest niewiele, ale jak tylko wstąpimy w granice Polski, pomnożymy się o setki tysięcy ludzi i wypełnimy ten akt tenisty za nasz Naród i za Polskę, którą musimy mieć wielką i silną, z naszym ukochanym Lwowem i Wilnem, nie mówiąc już o Warszawie, Krakowie i Poznaniu. Musimy mieć Gdańsk i to wszystko co do życia naszego należy, aby w przyszłości nie spotkała Narodu Polskiego ta straszna katastrofa, jaka miała miejsce ostatnio. I im jest nas mniej, tym większy

obowiązek ciąży na nas. Ja wiem, że się bić będziecie jak i ja. Wiem, że naszych kolegów pomścicie, wiem, że Polskę wywalczycie. Ale ważycie będzie nie tylko nasza męstwo i nasza ofiarność, której daliśmy dowody i dajemy codziennie. Zaufanie, jakie sobie zdobędziemy u wielkich naszych sprzymierzeńców — odegra rolę na konferencji pokojowej. Dlatego to wszystko, co Naród Polski przecierpiał i cierpi, powinno nam ciągle przypominać, że jesteśmy tu częścią Polski samej. Powinniśmy stworzyć gromadę uczciwych i wiernych synów Polski, bo to jedynie jest wielkie i święte...

Bijemy się wszyscy o niepodległość Polski oraz o byt i egzystencję Narodu Polskiego. Tu już nie ma „być czy nie być” — tu jest tylko wielka wiara i walka do końca. Dlatego kiedy staniami się armią nowoczesną, kiedy posiadziemy broń trudną i skomplikowaną, kiedy trzeba będzie dać największy wysiłek — pa-

niętajcie, że każde nawet najdrobniejsze spełnienie obowiązku, to jest praca dla Polski, natomiast każde uchybienie i nieuczciwość — to jest zdrada naszej sprawy.

Zjednoczyliśmy się z kolegami, którzy byli w Egipcie i Palestynie, albo przybyli z Anglii, bośmy jednej krwi, jednej matki i stanowimy jedną gromadę wojskową. Jesteśmy tylko częścią Polski. Zdajemy sobie sprawę, że gdzie jest Polak, tam walczy. I to stanowi naszą siłę. Mamy dziś cmentarze, które widzimy i których nie widzimy. Ja widzę twarz ojca i twarz mego syna, którzy polegli pod Kutnem. Każdy z was widzi oblicze swych bliskich, którzy polegli. I ten obraz dodaje wam sił. Oni mówią: „pamiętaj, ja nie poległem na darmo, ty masz być mścicielem za naszą sprawę i za mnie!”

Na zakończenie gen. Anders zarządził jednogłośnie ciszę, „abyśmy zjednoczyli się z tymi, z którymi czujemy się jednej krwi”.

N E U T R A L N I

Następnie odbył się uroczysty apel poległych. Na obszernym placu, w świetle płonących na wysokich słupach zniczy stanęły w czworoboku oddziały żołnierzy. Pan generał Anders przeszedł przed frontem czworoboku, a następnie wszedł na trybunę i wygłosił przed mikrofonem następujące przemówienie:

„Czy wy czujecie dziś, żołnierze, jak nieprzebrane tłumy są tu z nami? Czy czujecie, że nie jesteśmy dziś sami, że duchy najbliższych krewnych, przyjaciół i kolegów są koło nas? Nie ma napewno żadnego serca polskiego, któreby z nami tu dziś się nie łączyło. Łączą się z nami w tej uroczystości i ci nasi koledy, którzy w tej chwili prowadzą bój w powietrzu lub na marszu, ci, którzy w kraju walczą z prusactwem, łączą się nieszczęśliwi, którzy w tej chwili być może umierają w więzieniach i obozach koncentracyjnych i po bezkresnych przestrzeniach Sybiru...

Oni tam w kraju wiedzą, że nie jesteśmy tak liczni, jakbyśmy tego chcieli, ale wiedzą także, że w naszych sercach, umysłach i rękach jest ten piorun, który zapali, bo musimy nie tylko wykonać nasz święty obowiązek, ale ciąży na nas także wypełnienie marzeń tych, których dziś z nami nie ma.

Czy pamiętacie, jakie uczucie sprawił na nas pierwszy dzień wojny we wrześniu 1939 r., kiedy zobaczyliśmy pierwsze trupy? To były trupy polskich dzieci, zamordowanych ręką lotnika niemieckiego, który siekł te małeństwa ogniem karabinów naszych z wysokości pięćdziesięciu metrów. I wtedy zrozumiałem, że ta wojna przestała być wojną rycerską, a stała się wojną o byt, o egzystencję Narodu. A po tym widzieliśmy, co Niemcy zrobili, co robią dalej w Polsce. Widzieliśmy gehennę Warszawy, widzieliśmy i wiemy o setkach i tysiącach najlepszych synów Polski w mieście i na wsi, którzy przechodzą najcięższe katusze, rozstrzelaniwa setkami. Dziś wiem, że to co nas w większości spotkało, to poniewierka, którą przeszliśmy i którą przechodzą jeszcze nasi

Wszędzie tam, gdzie zaobserwować się daje jakieś starcie, zatarg, czy chociażby tylko różnica poglądów, wszędzie gdzie ludzie dzielą się na przeciwstawiające się sobie grupy, są tacy, którzy pozostają ostrożnie na boku i nie wypowiadają się za żadną z zaangażowanych stron, czekają na rezultat sporu, by w odpowiedniej chwili bez ponoszenia ryzyka uzyskać dla siebie maksimum korzyści. Są jeszcze inni, którzy, choć sprawa może ich bezpośrednio dotyczyć, wołają wyrzec się możliwości zysku, wołają nawet ponieść stratę, byle nie być zmuszonym do zajęcia zdecydowanego stanowiska, byle nie być narażonym na konsekwencje związane z czynnym udziałem w konflikcie.

Takie przypadki zauważamy ustawicznie w życiu codziennym jednostek jak i we współżyciu zorganizowanych grup społecznych od najmniejszych do największych, jakimi są państwa.

Określamy takie przypadki mianem neutralności.

Zagadnienie neutralności w sporach jednostek czy też ugrupowań prywatnych jest dla nas rzeczą obojętną i omawiać go nie będziemy, natomiast aktualne może być rozpatrzenie go w odniesieniu do największego konfliktu, jakim jest wojna, którą obecnie przeżywamy.

W chwili, gdy wojna się rozpoczynała, do boju stanęły dwa państwa t. j. Niemcy i Polska, po stronie której opowiedziały się wkrótce Imperium Brytyjskie i Francja. Ażkolwiek od pierwszej chwili było jasne, że konflikt nie może mieć charakteru lokalnego, że powodem jego wybuchu nie są jedynie przeciwności między Polską i Niemcami, ale że chodzi o sprawy istotne dla całej społeczności ludzkiej, wszystkie pozostałe państwa ogłosiły neutralność, licząc, że będą mogły pozostać na uboczu. Rachuby te okazały się mylne, a przeważnie i szkodliwe dla tych państw, które przyjęły neutralność jako wytyczną swej polityki.

Podczas gdy jednoczesne i zdecydowane wystąpienie wszystkich narodów zainteresowanych w utrzymaniu pokoju i porządku opartego na wolności, byłoby umożliwiło zagrożenie w zarodku pożaru światowego, strusia polityka chowania głowy w piasek, ludzenie i okamywanie samego siebie płonną nadzieją bezpieczeństwa i bezczynnego zostawiania na uboczu spowodowały kolejny podobny państw kontynentu europejskiego przez Hitlera. Bieg wydarzeń sprawił, że dziś faktycznie nie ma już państw neutralnych, a te nieliczne, które się w dalszym ciągu neutralnymi mienią, są nimi jedynie formalnie i do czasu. Czyż bowiem można nazwać neutralnymi Szwecję lub Szwajcarię, które otoczone terenami opartymi przez Niemcy, względnie Włochy i całkowicie od nich niezależne muszą wbrew swym interesom oddawać do dyspozycji państw osi wszystkie zasoby swego gospodarstwa narodowego. Czy są neutralnymi państwa Ameryki Południowej, które chociaż (poza największym z nich Brazylią) formalnie wojny nie prowadzą, tym niemniej swą flotą i bogactwami naturalnymi dopomagają sprzymierzonym, których zwycięstwo będzie zarazem ich zwycięstwem, a których klęska oddałaby je na łup ekspansji niemieckiej. Pozostaje Turcja i państwa Półwyspu Pirenejskiego t. j. Hiszpania i Portugalia. Ale przecież nikt nie może mieć złudzenia, że trwanie neutralności tych państw zależy wyłącznie od ich własnej decyzji. Chwila, w której Niemcy uznałyby, że terytoria tych państw są im potrzebne dla zaatakowania przeciwnika, zmusiłaby je do wyraźnego i czynnego wypowiedzenia się, po czyniej stają stronie.

Ostatnie wydarzenia, jakie miały miejsce we Francji i jej koloniach, są chyba dość przekonującym przykładem, że nikt nie może wyłączać się od udziału w tym zmaganiu narodów, w przeciwnym bowiem razie naraża się na nieuchronną zgubę. Bo czasem neutralność jednego z

państw może być dla innych bardziej szkodliwa niż otwarta nieprzyjaźń i dziwić się nie można, gdy takiemu stanowi rzeczy zainteresowani pragną położyć kres.

Tak, w chwili obecnej neutralnych być nie może. Wojna dzisiejsza nie jest podobna innym, nie tylko pod względem form walki, ale także co do istoty sporu. Nie chodzi już tylko o granice poszczególnych państw, nie chodzi o ustalenie granic ich wpływów — chodzi o stworzenie nowych, lepszych od dotychczasowych warunków pokojowego współżycia narodów między sobą.

A jest to zagadnienie o doniosłości tak powszechnej, że żadne z państw nie może usunąć się od współdziałania w jego rozwiązywaniu. Bierność jest równoznaczna z wyrzeczeniem się prawa do samodzielnego bytu.

Powszechny, ogólnoludzki charakter obecnego konfliktu, pociąga za sobą nadto i tę konsekwencję, że nie tylko państwa i narody, ale nawet i poszczególne jednostki nie mogą pozostawać na marginesie wydarzeń.

Nikt nie ma prawa dziś, gdy przeżywamy najtragiczniejszy, ale i najdonioślejszy okres naszych dziejów, zadowalać się rolą obserwatora. Nikt nie może wówczas, gdy każdy nerw i każdy mięsień, każde serce i każdy umysł stanowiąc mogą cenną wartość w sumie zbiorowego wysiłku narodu, usuwać się w bezpieczne zacisze, by korzystając z zaangażowania się innych w walkę o dobro powszechne, tym skuteczniej krzątać się koło własnych interesików.

Nie tylko bowiem ten jest wrogiem państwa i narodu, kto przeciw niemu aktywnie występuje, ale i ten, kto, beczynnie walce się przyglądając, swojej cegielki do gmachu wspólnego wysiłku nie dokłada.

Kto się od tego obowiązku uchyla, sam się wykreśla ze wspólnoty narodowej, jako przestępca przeciwko najwyższemu prawu, którym jest dobro Rzeczypospolitej — Salus Reipublicae suprema lex.

Zbigniew Raciejski

DROGA DO JEDNOŚCI



W GÓRACH

Rys. E. Matuszczak

STAŁEM z grupką kolegów przy drodze i już kilkakrotnie podnośliśmy ręce, aby dostać się autostopem z „Ziemi Obiecanej do Raju”. Nie udało się nam zatrzymać mijających kolumn samochodowych i raz po raz wracaliśmy do swych zajęć czekając na następną sposobność. Topniała nawet przy tym nasza grupka, bo to czekanie wzięło sobie jeden z nas tak mocno do serca, że musiał pozostać na miejscu, aby je sobie trochę podleczyć.

Gdy nareszcie przyszedł na nas dzień żniwowania i możność wyjazdu, żegnaliśmy go czule, zapewniając, że chyba się znów ujrzymy wkrótce razem. W chwili, gdy ruszały wozy wydało mi się, że mimowolnym ruchem rzucił we mnie swym lekkim piórem, którym pisywał ostatnio „Auto stopy” w „Ku Wolnej Polsce”. Podjąłem je trochę zważony i wcale nie zdawałem sobie wówczas sprawy z pierwszego użytku, jaki przyjdzie mi z niego uczynić.

PORZUCALIŚMY strony związane z najdawniejszymi tradycjami kultury, jedną z jej pierwszych kolebek, droga zaś nasza wiodła na nową wędrowkę do stron nie mniej zaszczytnie zapisanych w dziejach cywilizacji. Nikt nie zamierzał pielgrzymować po pustyni przez 40 lat jak naród wybrany, nie mniej przywieść każdego cel szczególnie pociągający. Mieliśmy się wreszcie połączyć z całością nowo utworzonej Armii Polskiej na Wschodzie i złączyć w swej pracy, prowadzonej od początków istnienia na Środkowym Wschodzie polskiego ramienia zbrojnego, z kolegami, którzy w czasie krótszym i warunkach zupełnie odmiennych, pod troskliwą opieką przełożonych, zdolali rozbudować swój warsztat pracy żołnierskiej na godną podziwu skalę.

WODŚWIĘTNY dzień żegnany nas w opuszczonym kraju na drogach wyległo po miasteczkach i osadach tłumy. Dziwiły się nieco naszemu exodusowi i manifestowały swą sympatią i łączność podnosząc — dobrze znanym z filmów ruchem Churchill — dwa palce w górę, rozwarłe w kształt litery „V”. Ten znak towarzyszył całej naszej podróży, choć w miarę przeciągania się jej nabierał innego wyrazu, nie tracąc zasadniczego, symbolicznego znaczenia.

Pod chmurnym trochę niebem, które rzucało pewien cień zasmucenia na nasz wyjazd, przez serpentyń wdzierały się wozy pierwszym wysiłkiem spracowanych motorów na pustynny płaskowyż. Na długie dni miał on być jęlną kanwą do znanych wszystkim

chyba wrażeń turystycznych i bardziej już osobistych rozmyślań.

JAK przez bezkresną szachownicę wiodła czarna nitka prostej drogi asfaltowej przez pola białej i czarnej pustyni. Przecinała granice symbolicznie zaznaczone słupkami z napisami, zdawałoby się przez

nikogo nie strzeżone, a jednak nieprzeniknione dla większości cywilnych śmiertelników. Nawet listek zapisanego papieru nie powinien był się przeniknąć przez oczka kontroli celnej. W pilności swej nie cofnęła się ona przed przeszperaniem nam kieszeni na piersiach. Pełną pobłażliwość znalazły jednak — niedostrzeżone — „listy od naszych czytelników”, zalegające skrzynie redakcyjne. Warkot przelatujących nad czasem do czasu nad głowami samolotów wskazywał, że przecież jest oko czuwające nad przestworzami tego permanentnego lotniska, które w szumie nieustannego wicheru przecinaliśmy naszymi zmotoryzowanymi wielbłdami.

NA kanwie pierwszej pustyni, przypominającej ugór, zlekką porośniętą roślinką podobną do wrzosu, wyobraźnia tknęła obraz kraju mlekiem i miodem płynącego, jaki by powstał, gdyby się tylko dało rozwiązać zagadnienie nawodnienia tych przestrzeni. Na razie więc ograniczała się nasza fantazja do nawodnienia jej zalewającymi horyzont wielkimi jeziorami, rozlewiskami i urojonymi rzekami.

Jednostajna droga ciągnęła się wzdłuż ukrytego dla oka rurociągu z niezbędnej dla wojny ropą i zaledwie odcinkami znacząca była regularnym rytmem słupów telegraficznych, lub kupkami beczek od smoły.

Wybierając się w pustynię zaprawdę należało pejaż zabrać z domu ze sobą. Wyobraźnia rozdziła więc pomysły najszaleńsze dla urozmaitenia i wykorzystania tej bezkresnej płyty, niekiedy jak gdyby zbronowanej przez wiatry, niekiedy znów posypanej ciemnym żwirem, niby przez najregularniejsze sítěczko.

Nie więc dziwnego, że wśród jących powstał rodzaj turnieju pomysłów, jakby tę lysin ziemską raj pożyteczniejszą dla ludzkości wykorzystać. Jedni cięli ją na paseczki i sprzedawali na eksport do krajów, gdzie bite trakty miały więcej wybojów niż ta dziewicza pustynna taśma. Inni urządzali gigantyczne mecze piłkarskie, rajdy i wyścigi samochodowe.

POMYŚLY stawały się coraz bardziej fantastyczne, gdy z białej szachownicy przeszliśmy na czarną, pokrytą grubymi głazami bazaltu. W tym kraju orgii słońca stwarzały one nieustający „black out” na powierzchni ziemi. Tomy tych głazów można było spuścić na głowy Niemców i ich pomocników — zamiast bomb — i tak ukamienować, jak kamienio-

wano grzeszników w czasach biblijnych. Sami, gdyby im taka pustynia wpadła do rąk — na co się nie zanosi — z pewnością zamieniliby ją na najwymyślniejszą katorgę każąc swym przeciwnikom ustawiać gigantyczne czarne piramidy w kształcie swastyki...

Mijałymi prymitywne z niepalonej cegły spierzające piece w kształcie wanny, w których smolarze podobni do szatanów topili asfalt na poprawkę dawnej i budowę nowej nawierzchni. Był to przykład „bezcennej pracy”, gdyż zaledwie tu i ówdzie czarny diabeł dopilnowywał piekielnego waru. Reszta boży dzień spędzała na pilnowaniu przebiegających obok konwojów, podnosząc ręce w górę z palcami złożonymi w znak litery „V”. Tym razem oznaczał ten znak już nie tylko przyjazne życzenie zwycięstwa i wszelkiej pomysłowości, ale również to, iż przyjaźń ta była posunięta aż do gotowości przyjęcia od każdego z nas najszersze bakszyszu.

Chwilami ruch na szosie stawał się tak ożywiony, jak na głównej ulicy któregośkolwiek z wielkich miast na Sr. Wschodzie. Pasażerowie konwojów pędzących w jedną stronę witali lecące w przeciwnym kierunku podniesionym do góry kciukiem i znakiem „V”, a z uśmiechniętych ciemnych twarzy błyszczały rzędy białych jak śnieg zębów.

ZE sześciu razy księżyc obrócił się srebrny, gdy nasza koczownicza karawana przed zmrokiem dojeżdżała do m. p. na nocleg. Ustawiali się w napoleoński czworobok lub husarski rząd nasze rumaki motorowe. A z zostawionych tam zawczasu kuchni połowych dolatywały za pach przyrządzonego obiadu, zjadanego jednak dopiero w porze, w której należałoby doń siadać raczej w lśniących smokach, niżeli kucnąć w naszych zakurzonych płaszczach i swetrach. Księżyc urządził feeryczną iluminację swą na pełnię nastawioną tarczą, a wśród smug reflektorów samochodowych krążyły zadumane i rozgwarzone postacie podróżników. Pilnie strzegły ich posterunki wartownicze przed zawieszeniem się w pustyni. Dźwięk głośników radiowych kołysał powoli wszystkich do snu pozwalając zapominać, że setki, jeśli nie tysiące km oddzielają nas od ośrodków zachodniej cywilizacji. Spotykane po drodze szczytliwie obgryzionych do kości wielbłdów i owiec wskazywały na los, jaki czeka — z łaski sępów i szakali — każdą zawieszoną tam istotę.

Na rozłożonych leżach lub pokotem przesnił niejeden z nas swą przygodę pustynną. Jeszcze przed świtem otrząsał się z nocnych mar i po sputkaniu mydła z ogolonej twarzy, pochłaniał kubek ciepłej herbaty, za-

gryzionej naleźycie omaszczonym sucharkiem.

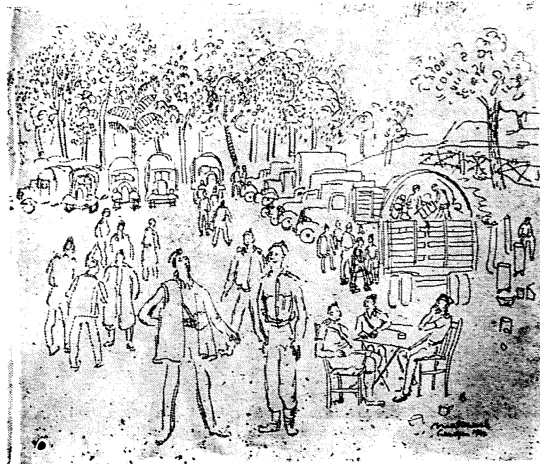
ZELIZANIE się do nowego, wschodniego centrum cywilizacji zwiastowała szmaragdowa płyta jeziora — tym razem już nie zmyślonej fantasmagorii — jakieś opuszczone rowy sztraleckie przy drodze, lepianki miasteczka arabskiego, które swą największą kawiarnię rozłożyło wpoprzek drogi, zmaçoną nurt rozlewniej rzeki, nad którą widniały ślady fundamentów jakiegoś przedwiecznego Biskupina, osiedla rozłożonego nad rozlewiskami.

Od jednej rzeki do drugiej, jeszcze większej rozciągał się krajobraz z rzadką zazielenioną ziwnie zakurzona roślinnością, połać kraju zdawałoby się systematycznie niszczone, roślina po roślince, gniewem bożym, jak gdyby ścierała przez wieki z powierzchni ziemi za pierwsze przewinięcie rodu ludzkiego. Gdzieś w takich okolicach mieścić się miał własny legendarny raj z Adamem i Ewą.

Uzbrojeni we wspomnienia najbardziej zaciekawieniem wtaczaliśmy się w aleję wjazdową do Miasta Pokoju, obramowanego przez gaje palmowe i otoczonego nimbem baśniowej fantazji.

WITAJA nas tutaj nie tylko Asyryjska Brama Triumfalna i las, jak w bajce, kolorową ceramiką zdobionych minaretów i kopuł meczetów, szpalery domów o niekończącej się kolumnadzie podcieni i poszarpanej koronce frontonów, wrzawa pstrym tłumem i gestym ruchem pojazdów zapełnionej ulicy. Spotykaliśmy też z otwartymi rękami grono młodych kolegów, rozentuzjasmowanych do swej pracy, do swego pisma, do swego czytelnika — żołnierza. Łączył nas z nimi od razu jeden cel, jedno zadanie. To też, gdy po naszym przybyciu padł rozkaz, że połączone pismo A. P. W. nosić ma tyle mówiącą im nazwę „Orla Białego”, a że nam przyszło zrezygnować z całego przywiązania do tytułu, prowadzącego nas dtychczas „Ku Wolnej Polsce” — ożywiła nas myśl, że oto otworzyła się przed nami sposobność do pomnożenia ogólnego wkładu do jedności. Jedności naszych oddziałów, naszych celów, naszych umaidwań. Ta myśl zjednoczyła też od razu nas sztywnych „Ramzesów” z najbardziej nawet rozwichrzonymi „Sybirakami”.

On



„POSTOJ”

Rys. E. Matuszczak

JERZY PIETRKIEWICZ

WITAJ, DOSTOJNY GOŚCIU!

(OPOWIADANIE)

Wszystko miało się dziać na tle brzozonego lasu. Drzewa cien rzucaly skąpy, pagórek był niewysoki, tylko w rowie starym, zarośniętym wrzosami, gdzie gnieździły się rydze, dyszał uśpiony chłód. Szosa otaczała brzezinową kępę i pod bezlistnym obrzastem słońca szła z determinacją naprzeciw zamglonemu błękitom — tam, gdzie miało się znajdować miasteczko i rynek przewiewny pod kopułą kasztanów.

Upał zapędził znamienitych gości pomiędzy brzozone dziurawe cienie, smugi gorącego słońca raziły karki, zeskakując ze słiskich gałęzi, kaleczyły nienal.

Najbardziej cierpiał, najwięcej pocił się i najostrej przeklinał dziennikarz szwedzki, który przyjechał na tę uroczystość aż z Berlina, specjalnie zaproszony przez gen. gubernatora Franka. Stał obok swego pułkownika; za nim oparty o drzewo smugi kolega zawodowy, korespondent szwajcarski; przed Szwedem tuż nad rowem z wrzosami i rydzami siedział z aparatem filmowym garbus w hitlerowskim mundurze: patrzył w chłodną głębię rowu i zdawał się liczyć kępy wrzosów.

— Nigdy nie przypuszczałem, że wrzesień może być tak gorący w Pol...
— urwał niezręcznie i dokończył — w tym kraju!

Pułkownik uszczęknął jakiś listek, wsadził go do ust i żując dla orzeźwienia gardła odpowiadał Szwedowi:

— Panu napewno trudno przyzwyczaić się do tego klimatu. Pierwsze dni września są tutaj zazwyczaj upalne.

Zerwał drugi liść i rozdziawił usta. Usta tak zostały otwarte przez chwilę, bo uwagę wszystkich odwrócił nagle przejazd kolorowego oddziału w krakowskich sukmanach. Szwajcar patrzył z uznaniem na pawie pióra, Szwed porównywał konie, pułkownik choć początkowo zdumiał się tą pstrą zjawą, przypomniał sobie zaraz o liście i położył go na języku, jak balsam.

Krakusy jechali do wsi napić konie; w lasu się nie mogli pomieścić, czekających na słońce poraziło mocno, konie popuszczaly tby, poł na nich lśnił, jak pokost. Reporter filmowy zerwał się w pierwszej chwili z nad rowu, ale kiedy ujrzał apatię łbów końskich i głów ludzkich, zrezygnował ze zdjęć.

— Poczekam, aż gen. gubernator przyjedzie — pomyślał — odrzucił narkęć wszystko. I te dwie bramy także.

Bramy triumfalne stały w niewielkiej odległości od siebie, na słońcu. Gałęzie, którymi umajono słupy, zwisały martwe; zwidniętym liściom śmierć słoneczna pokureczyła ciała. Jedynie napisy na lnianych płótnach nie potraciły czerwonego blasku, rozciągały się ponad drogą krzycząc w zamgloną upałem przestrzeń po niemiecku i po polsku: „Witaj dostojny gościu!”.

Okrzyki pozostawały bez eeh, bez żadnej odpowiedzi. Człowiek, którego oczekiwano, nie przyjeżdżał od strony miasteczka.

Panowie gauleiterzy razem z niemieckimi delegacjami swoich dystryktów zrezygnowali z godnej, świątecznej postawy, pozejmowali kapelusze, niektórzy pościągali czarne marynarki chroniące się w niszach brzozonej cieni. Wiedzieli, że orkiestra da znać grając marsza. Zanim dr Frank nadjedzie autem, zdążyć wrócić do poprzedniej uroczystej pozy.

Gauleiterzy przepowiadali sobie pod nosem mowy powitalne; wojskowi strzępywali rękawiczkami kurz z wysokich butów — nastrój oczekiwania i nerwowej gotowości udzielał się wszystkim. Dwie godziny spóźnienia to coś ponad niemiecką cierpliwość!

Szwed patrzył na zegarek tak często i tak pilnie liczył mijające minuty, że siwy pułkownik musiał do wreszcie zauważyć. Uśmiechnął się na usprawiedliwienie i powiedział nie w pięć ni w dziewięć: — Gorąco... Szwed miał rozpiętą koszulę, krawat ściągnął ku dołowi; swoim zewnętrznym wyglądem dawał pułkownikowi właściwą odpowiedź.

Krakusy wrócili ode wsi. Koniom było raźniej. Parskały, trzając grzywami. Korespondent zurichskiej gazety przeskokzył rów, podbiegł do pierwszego z jadących. Pawie pióra nachyliły się. Szwajcar wrócił po chwili. Przechodząc koło Szveda, trącił go łokciem. Szeptał po francusku:

— Ci przebrani chłopie nie umieją po polsku. Znam polski wcale nieźle. Pytałem potem po niemiecku. Tak, nie pomyliłem się. To są Niemcy przebrani w polskie stroje ludowe.

Szwed machnął ręką. Nie dziwiło go to wcale.

Na łące poza orkiestrą wojskową tłoczył się szary tłum. Kobiety miały chustki zawiązane pod brodami. Dzieciaki siedziały na trawie z podwiniętymi nogami. Ten tłum mało mówił. Obserwował, rozmyślał, badał oczami; był dziwnie spokojny i groźny w swoim spokoju.

— To są Polacy — odpowiedział Szwed po francusku, wskazując ruchem głowy łąkę. Pułkownik podejrzliwie nachylił się ku rozmawiają-

cym, a że nie nie mógł zrozumieć, urwał nowy liść i wsadził go do wyschniętych ust.

Volksdeutsche, przebrani po krakowsku, podjechali bliżej ku umajonym bramom. Pierwszy z nich wyciągnął gruby zegarek z portretem Hitlera na kopercie i odczytał godzinę. Dwunasta! Samo południe!

Gauleiter dystryktu radomskiego sprawdzał także czas. O dziesiątej miał dr. Frank przyjechać pod ten las brzozone. Powitanie przed dwoma bramami — pół godziny. Potem defilada we wsi Czarna Gruda — około godziny. Przyjęcie w pałacu do trzeciej po południu. Zwiedzenie wzorowych osad niemieckich w Neubaume do wieczora. Potem odjazd wszystkich: wojska, urzędników, delegacji i dziennikarzy do Krakowa, gdzie dr Frank ma wygłosić mowę przez radio. Na dziedzińcu wawelskim koncert dla wojska aż do północy — i oto cały program! Wcale bogaty i zajmujący!

Trzecia rocznica wybuchu wojny — myśli gauleiter — uczczona ściśle według takiego planu, powinna odbić się szerokim echem w prasie krajowej i zagranicznej. Tym bardziej, że dziennikarze państw neutralnych przybyli na uroczystość stosownie do życzenia pana gen. gubernatora. Chyba zrozumiecie ducha tego obchodu. Napewno! — utwierdza się w optymizmie gauleiter Radomskiego. Dr Frank na wsi, między polskimi chłopami. Władza i lojalność. Lu i nowy porządek. Praca i radość. Napis polski znajduje się na bramie — a jakże! Obok niemieckiego. I stroje regionalne mizdrzą się na grzbiatach Volksdeutschów... Czegoż brak? Wszystko jest! — wedle programu, wedle zaleten niejścoowego oddziału ministerstwa propagandy.

Herr Gauleiter gotówby się podzielić swoimi uwagami z kolegą z Lublina. Ale gauleiter dystryktu lubelskiego zdjeunuje właśnie marynarkę, i siada pod brzozą z gracją sentymentalnego zbrodnarza. Jest zajęty układaniem marynarki na trawie — w kostkę, po wojskowemu.

Dwunasia! Niemożliwe! Coś się musiało stać w Krakowie... Jeśli dr Frank nie przyjedzie, cała uroczystość straci na znaczeniu. Czekać jeszcze? Może lepiej telefonować... We wsi jest telefon! Co powiedziec prasie i delegacjom? Gauleiter Radomskiego martwi się za wszystkich gauleiterów i wie, i rozunie, że musi powziąć decyzję. Czekać tak dłużej nie można.

A może jeśli dr Frank, jak Heydrich... jeśli został dziś rano... Nie! Tej myśli nie wolno gauleiterowi hodaować w przypuszczeniach. Dr Frank napewno jest cały, nietknięty. Tylko...

Tylko co minęła dziewiąta, kiedy dr Frank wsiał do auta. Miał jechać w towarzystwie gauleitera dystryktu krakowskiego i dwu wyższych urzędników z Gestapo. Auto było odsłonięte; wietrzyk tarmosti wstawił na przdzie, z tyłu zaczynał wrować krótki, niski kurz. Dzień zapowiadał się gorący.

Sosny kampinoskie

Co noc na moją żołnierską kwaterę
Przychodzą sosny, kampinoskie sosny,
Tutaj, gdzie w Szkocji przyjaznej, dalekiej,
Będziemy zimę znów mijać do wiosny.
Wokoło sosny nam, kora brzozone,
Kruszy się złoto, jest ciepło, jest jasno,
Pachnie żywicą, a szumią konary,
Że nie poznaje się, że obce miasto,
Widzicie, przyszły sosny kampinoskie,
Nie do wiary.
Wysokie, smukłe sosny kampinoskie,
Rycerze boru, strażnicy miesiąca,
Archaniołowie zielonego raju,
Trubadurowie kołysanki rzewnej
Naszego dzisiaj skrawionego kraju.
Sosny brzozone i żywiczne sosny,
Do których ojca wioska przytulona,
Gdzie praojecowie karczowali puszcę,
Gdzie w wieńcu wydmy za wydną piaszczystą
Wiatr mazowiecki jakby lirą pluszcze
I na mogiłę powstańców styczniowych
Rzucą świtania zórz gwoździe ogniste.
We wrześniu puszcza zabuczała wojną,
A krew żołnierską sosny chronią wiernie,
I tu, tu w Szkocji, jeszcze w noc spokojną,
Mogily widzę wśród sosen, jak ciernie,
Widzę — wśród sosen, że żołnierz się broni,
Wydmy czerwone, sosny drżą od strzałów,
A może gałąź, pień może załoni,
Gdy oto zbliża się doń śmierć pomału.
W tajemnej puszczy, sosnowej, zielonej,
Pamiętającej czasów tyle, tyle,
Choć martwy, bronisz się żołnierzu polski
I na nas czekasz, mścicieli — w mogile.
Co noc, na moją żołnierską kwaterę
Przychodzą sosny, kampinoskie sosny,
Prawią sekrety, kraj przypominają
Swoją sosnową żywiczną balladą,
Z puszczy, gdzie ongi praojecowie moi
Ostrą siekierą karczowali twarde
I brali wroźby z odemkniomych stoi.

Wawrzyniec Czereśniewski

(Dalszy ciąg na str. 6-ej)

Nie zdążyli ujechać z 10 km, kiedy szofer zobaczył na zakręcie koło drogowoskazu człowieka w czarnym stroju. Stał pośrodku szosy z rękoma rozkrzyżowanymi. Chciał najwyraźniej zatrzymać auto. Gestapowcy chwycili za rewolwery.

Hamując auto szofer rozpoznał strój nieznanego. Była to sutanna. Ksiądz podszedł do maszyny, ujął klamkę od drzwiczek, poza którymi siedział gen. gubernator; szofer odwrócił się wtedy raptownie i podniósł pięść. Ręka mu zdrętwiała w powietrzu. Nie mógł nawet wydać z siebie głosu. Druga dłoń zsunęła się po kierownicy jak martwa. Usłyszał dźwięk podwojny. Głuchy. Rewolwery gestapowców spadły na skórzane siedzenie.

Dr Frank czuł obecność ogromnego niebezpieczeństwa, tak niepojętego w wymiarach, że strach w nim nawet zamarł. Oczy otwierały się coraz szerzej. Na dłoniach nabrzmiały żyły.

— Czego chcesz? — wycharezał. W głosie dźwięki stercaży jak igły. Bolało gardło, przetyk, język piekł jakby pokluty. Ksiądz szklanym wzrokiem patrzył poprzez Niemca w pole, w dwusereg wierz idących przed siebie na północ.

— Zawróć! — powiedział po łacinie. Dr Frank zrozumiał. Zobaczyć krzyż na czarnej sutannie. Spróbował wyciągnąć rękę. Rątmku szukał w dołku mistycznego znaku. Ksiądz cofnął się i rzekł tym samym hipnotycznym, usypiającym tonem głosu:

— Spójrz na twoje ręce! Całe w krwi! Spójrz!

Dr Frank nim trząsał maź kleistą na palcach, usłyszał wpięty krople wieżkie spadające na jego spodnie, na kraciatą derkę pod nogami, na buty. — Ooo! — wrzasnął za wierzeczną głosem. Strach w nim się wyzwolił i uduży krzykiem. Gestapowcy oprzytomnieli, chwycili znów rewolwery, szofer zepuł klamkę, szarpnął drzwiczkami. Ksiądz już nie było. Kurz wirował naokoło swastyki na przedzie auta. Wieczby szły wciąż przed siebie w krajobrazie błękitnym. Dr Frank trzymał oczekujące krwią dłonie wysoko, nie wiedział, co z nimi począć; wreszcie schował je w deuce, ale mawiała wkrótce, żółte kraty wypełniły się purpurą.

— Zawracaj! — krzyczał do szofera. — Zawracaj! Do Krakowa! I stań po drodze przy pierwszym stawie. Ręce muszą myć! Żeby nie było znać! Ręce moje! Słyszysz!

Szofer zaprzęcał motor rozłączonej siłowni. O dwunastej godzinie gen. gubernator Frank był już w łóżku. Lekarz miał przyjść lada chwila. Planu czerwone bładły na dłoniach. Zapomnieć — usnąć — umrzeć... Do drzwi dzwonek. To lekarz. Dr Frank przyknał oczy.

O tej samej porze gauleiter dystryktu radomskiego zdecydował się w lasku brzożowym pod wsią Czarną Grudą na zatelefonowanie do Krakowa. Wstał, zbliżył się do szosy, kiedy nagle orkiestra uderzyła w miedziane talerze, trąby ryknęły brzożom między liście, słońcu w góracz twarz. Marsz!

Więc pewnie jedzie... Gauleiterzy, wojskowi, delegaci i urzędnicy rzucili się na drogę. Tłum polski zahuczał na łące. Poprzebierani Volsdeutsche chwycili się za czapki z pawimi piórami, żeby krzycać: „Hoch! Hoch!” Wtedy jakiś Niemiec z przodu zawołał: To nie auto! To ktoś idzie! Pieszko!

— Pieszko? Niemożliwe... — mruknął gauleiter. Policja zamknęła ruch na szosie. Czyżby sam gen. gubernator szedł piechotą? Sam dr Frank? Coś się napewno stało! Zamach? Auto rozbite? Myśli władcy dystryktu radomskiego skakały, jak opętane.

Orkiestra urwała. Dyrygent trzymał jeszcze pałeczkę w górze, muzy-

kanci jeszcze mieli przy ustach trąby — ale dźwięki już pogasły. Człowiek, który się zbliżał, nie był dr Frankiem. Miał na sobie sutannę. Znajdował się właśnie pod pierwszą bramą, na której wisiał napis niemiecki „Witaj dostojny gościu!”. Kiedy ją minął, brama runęła koniom krakowskim pod kopyta. Człowiek w sutannie

szedł naprzód. Już witały go litery polskie na płótnie; zwiędnięte gałązki zdobiące drugą bramę zmartwychwstawały w zielonej świeżości. Na czubach słupów pokazały się kwiaty.

Niemcy zmartwieli. Upał milejący panował nad nimi terrorem słońca i zwałami mglistego błękitu. Dwaj dziennikarze patrzyli na twarze ścięte zdumieniem i trwogą. Byli przypadkowymi widzami misterium, które na tle brzożowego lasku rozgrywało się pod gołym niebem, w biały dzień, w południe. Garbus z aparatem filmowym stoczył się w rów, skąd patrzył jak z okopu na nogi idącego księdza.

Wtedy akurat tłum polski z łąki ruszył naprzód, ustawił się szeregiem długim wzdłuż szosy; kobiety pierwsze ukłękły. Jakiś głos męski odezwał się w upalnej ciszy:

— Iżesz się nam pojawił w strapieniu i boleści...

Chór kobiet, chłopów i dzieci wołał w modlitewnym uniesieniu:

— Módl się za nami —

Ksiądz jaśniał ponad tłumem improwizującym litanię, niczem drugie słońce. Dłonie podniósł do góry. Błogosławił. Potem pieśń weszła nad nim ogromna i wysoka. Wiedzieli dobrze, którą zaśpiewać.

„Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki

Otaczał blaskiem potęgi i chwały...”

Niemcy oprzytomnieli, kiedy usłyszeli hymn. Rzucili się żołnierze, policjanci i szpicle ku tłumowi. Pieśń nie ustala.

Pod bramą z napisem polskim „Witaj dostojny gościu!” ksiądz już nie było. Pozostała po nim jasność i fontanna kwiatowych zapachów. Kobiety całowały kamienie na szosie, na których On przedtem stał.

Niemcy chwytali klęczących za włosy, ciągnęli po ziemi, kopali i kleli. W pomieszczeniach słowach przekleństw i hymnu dziennikarz szwajcarski usłyszał wreszcie prawdę tego dnia upalnego, prawdę trzeciej rocznicy wybuchu wojny. 1 września 1942 roku na wsi pod Krakowem...

Co to za dziwne zdarzenie? O co właściwie poszło? Kto może wytłumaczyć?

Szwed biegł między śpiewającymi i katami jak widmo. Jak widmo poszukujące drugiego widma.

— Kto to był? — zapytał młody dziewczyny leżący w rowie, dokąd ją wpełznął biegnący z aparatem filmowym garbus.

— Jaktto, pan nie wie? — odpowiedziała mu słysząc polską mowę. — Patrz pan! — wyjęła pomietą kartkę z za bluzki i podała dziennikarzowi. Szwajcar zobaczył tę samą księżą twarz. Wykrztusił z przerażeniem wyrazy umieszczone pod obrazkiem: „Święły Andrzej Bobola”. Mimowoli odwrócił kartkę. Przetętał tekst modlitwy.

Spojrzył na dziewczynę. Miała dwie czerwone pręgi na twarzy i uśmiechała się.

Wyciągnęła małą dłoń po obrazek: — Niech Pan mi to odda. — W lasku brzożowym drzewa kłękały kolejno cieniami. Słońce triumfowało na wysokościach południa. Jak w czas podniesienia Pogoda rozdręgała nad polami wszystkie dzwonki.

Szwajcar runął na kolana. Bił się w piersi pięściami twardymi, jak gniew.

Bateria — Widmo

Twierdza po zmroku ślepnie. Wysoko nad głową Księżyc, dręczony nowiu liryczną maligną. Na pozycjach już cicho, diablo, balladowo, Pod Meduar zajeżdża w mgłach bateria—widmo.

Nam w dłoniach zatulonych papieros się żarzy, Dolatuje z północy nikiły morza plusk. Niech nikt się teraz mówić nie odważy. Strzaskanym dyszlem w niebie sterczy Wielki Wóz.

Ja słyszałem po nocy po polsku komendę. Tyś widział ślad obdity przez minowe pole. A znacie w wiotkiej ciszy ten wystrzał przybłądę? Skąd wyszedł, wie towarzysz, który wczoraj poległ.

Widział ją kapral, który zginął tydzień temu, Oślepiony rakietą czerwoną, bezwstydną, Na perymetrze dostał kulą cekaemu. Ten przeszedł do obsługi dział Baterii—Widmo.

Zjawą. Bateria—Widmo. Fantom urojony — Elegię czarną pisze, którą wnet z rozpaczą Odegra wiatr—fortepian lękiem rozstrojony I niezwyčajne, inne rzeczy dźbiać się zaczyna.

Na centrali zabłyśnie nagle siódma klatka Nie oznaczona dotąd żadnym kryptonimem, Martwy brzęczyk w szatańskie scherzo się zagmatwa, Z Tamtej Strony fonogram dyżurny Strach przyjmie:

- Jesteśmy po za czasem
- I po za przestrzenią.
- Nie oznaczeni nigdzie,
- Krążąca mgławica.
- Nie szukajcie na mapach
- Tam, gdzie przejeździemy,
- Jest biała plama,
- Przerwana warstwica.
- Na tarzach naszych rany
- Kul nieprzyjaciela;
- Święty rozkaz wydany
- Nam żołniercom — duchom,
- Nasz punkt maskuje miraż
- W spalonych carrierach.
- Czwarte dzieło jest nasze
- Z rozzerwaną łufą.
- Nie mówcie dla nas
- Za zmarłych modlitwy,
- Nie zamykajcie oczu,
- Gdy ujrzycie w cieniach
- Sylwetki dział płynące
- W przeddzień każdej bitwy.
- My nie jesteśmy wcale.

I głosu już nie ma.

Tak tu teraz śmiertelnie, urocznie, daleko, Rżenie słychać w wozie — przywidziane konie. Boli w sercu tęsknotą nieżnośną, przewleklą, Wiem już. Bateria — Widmo jest w naszym rejonie.

Tadeusz Sowiński



I R A K

OJCZYŻNA KALIFA AL RASZYDA I SINDBADA ŻEGLARZA

USTRÓJ IRAKU

Kraina Między Dwoma Rzekami, czyli Mezopotamia, była jedną z najstarszych kolebek cywilizacji. Już 4000 lat przed Chrystusem istniały tu duże osady ludzkie, a później w ciągu wieków wyrastały tu, rozwijały się i ginęły wielkie państwa owych czasów, jak Sumer, Babilon, Assyria, znów Babilon odrodzony i bardziej niż kiedykolwiek potężny, tu panowały później perskie dynastie Partów i Sassanidów, których stolica znajdowała się w Ktezyfonie o kilkanaście kilometrów od obecnego Bagdadu. Wreszcie w drugiej ćwiartce VII wieku po Chr. pojawili się Arabowie i zburzywszy w ciągu kilku lat monarchię Sassanidzką, wprowadzili swoją nową religię — Islam i wcielili zdobyty kraj do wielkiego państwa muzułmańskiego, które wtedy powstało. Rozkwit jednak może największy nastąpił z chwilą, gdy dynastia kalifów Abbasydów uczyniła Irak ośrodkiem swego państwa i wybudowała nową bajeczną jego stolicę — Bagdad. Cień kalifa Haruna Al Raszyda do dziś dnia zdaje się błędzić wśród cmentarzy Bagdadu, dookoła dziwnego grobowca jego najlubiejszej żony Zobaidy. Z Bagdadu kalif wysyłał słynne poselstwo do Karola Wielkiego; Bagdad był w tych czasach największym i najświetniejszym w świecie ośrodkiem kultury i nauki.

NAJAZDY MONGOLSKIE

Jeden z następców Haruna, kalif Mamun, miał zwyczaj osobiście brać udział w dyskusjach uczonych filozofów, którymi się opiekował. Świątyni Bagdadu położyły kres najazdy mongolskie i tatarskie, które od połowy mniej więcej XIII wieku były ciągle powtarzającym się zjawiskiem. Całe bogactwo kraju zostało doszczętnie zniszczone, Bagdad szeregiem palony do fundamentów, mieszkańcy jego wycinani, a nawet irygacyjne urządzenia burzone tak, że żyłny przedtem kraj zmienił się wreszcie w pustynię. Z tego zniszczenia dopiero teraz próbuje się podnieść.

Po roku 1918 zaczęła się dla tego kraju zupełnie nowa era. Liga Narodów powierzyła opiekę nad nim Wielkiej Brytanii w formie mandatu, to znaczy, że miała ona administrować Irakiem do czasu, w którym jego mieszkańcy będą zdolni do całkowitej niepodległości. W roku 1921 r. na podstawie powszechnego plebiscytu Irak został ogłoszony monarchią, a królem jej został Feysal, syn króla Huseina z Hedżazu (w Zachodniej Arabii). Król Feysal I był nie tylko władcą starającym się o rozwój swego kraju, ale także arabskim bohaterem narodowym i jednym z najwybitniejszych polityków na Wschodzie. W 1924 roku Zgromadzenie Narodowe przyjęło konstytucję ustalającą, że Irak (stara arabska nazwa tego kraju) jest monarchią konstytucyjną, dziedziczną w rodzie Haszymitów, z Islamem jako religią panującą oraz językiem arabskim jako urzędowym.

Państwem kieruje będący jego głową król, za pośrednictwem rządu, odpowiedzialnego przed parlamentem, złożonym z mianowanego przezeń Senatu i z Izby Deputowanych, które członkowie są wybierani przez naród. Mandat został zniesiony i Irak otrzymał niezależność, na razie warunkową. W roku 1932 została ogłoszona pełna niepodległość na podstawie specjalnego traktatu, regulującego wzajemne stosunki i obowiązki Iraku i W. Brytanii. Państwa te pozostają związane przymierzem. Po zgonie króla Feysala w 1933 r. dziedzictwo po nim objął syn, Ghazi I, który panował do roku 1939, a po jego tragicznej śmierci (wskutek wypadku samolotowego) na tron wstąpił małoletni jego syn Feysal II (urodzony w r. 1935). W imieniu małoletniego króla funkcję głowy państwa spełnia obecnie regent, książę Abdul Illah syn króla Hedżazu Alego, brata Feysala I.

BOGACTWO IRAKU — NAFTA

Ogólny obszar państwa Iraku wynosi około 453 000 km kw., a więc nieco więcej niż Polska, a liczba mieszkańców wynosi około 4 milionów. Kraj cały znajduje się w dorzeczu Eufratu i Tygrysu (po arabsku Al-Furat i Dydzła.) Na północy i północnym wschodzie znajdują się góry Kurdystanu, których szczyty sięgają 4 tys. metrów nad poziom morza. Wielkie obszary na prawym brzegu Eufratu należą do Pustyni Syryjskiej, będącej najbardziej północnym z licznych tego rodzaju obszarów Półwyspu Arabskiego.

Największym bogactwem naturalnym Iraku jest nafta, wydobywana na północy i północnym wschodzie (w okolicach Mosulu i Karkuku). Poza tym kraj ma charakter rolniczy, wielkie jednak jego zniszczenie w ciągu wieków nie pozwoliło jeszcze w krótkim okresie rozwoju po wielkiej wojnie wyzyskać nawet części możliwości, jakie pod tym względem przedstawia. Wielką pracę włożono już w nawodnienie nadających się pod uprawę obszarów. Najważniejszym z produktów rolnych Iraku jest daktyl. Znajduje się tu około 30 milionów palm daktylowych, a dwie trzecie tej ilości rośnie w Iraku południowym, nad licznymi rozgałęzieniami rzeki Szatt Al-Arab, będącej połączeniem Tygrysu i Eufratu.

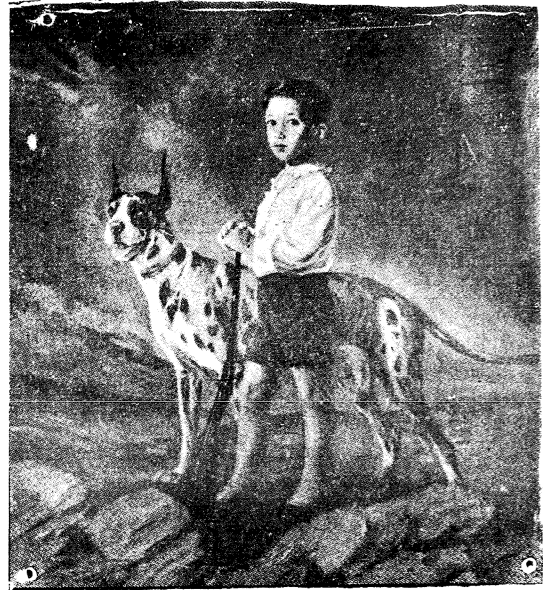
Stolicą kraju jest Bagdad, liczący około 300 tys. mieszkańców i powoli podnoszący się z długowiecznego upadku. Zwłaszcza za czasu ostatnich lat przed wojną zaznaczył się tu

duży postęp, czego wyrazem było powstanie całego szeregu nowo-wydziałnic, budowa mostów na Tygrysie oraz licznych gmachów państwowych przeważnie w ładnym arabskim stylu. Z Bagdadu kalifów abbasydzkich zostały tylko resztki, właściwie bowiem ich miasto zostało doszczętnie starte z powierzchni ziemi przez najeźdźców a obecnie znajduje się w miejscu dawnych jego przedmieść Al Karch i Al-Resafa. Niemniej jednak stare dzielnice miasta zachowały interesujące, typowo-wschodnie oblicze, a wielkie bazyry, jedno z najekscytywniejszych na Wschodzie, tętnią życiem nawet teraz, mimo utrudnień, jakie handlowi stawia tocząca się wojna.

BASRA — MOSUL

Poza Bagdadem najważniejszymi miastami Iraku są: Mosul — centrum handlowe na północy, a także ośrodek wielkich terenów naftowych i Basra, port nad Szatt Al-Arab, dostępny dla statków morskich, legendarne prawie miasto z „Tysiącą i jednej nocy”, skąd Sindbad Żeglarz wyruszał na swe cudowne wyprawy.

Mieszkańcy Iraku w trzech czwartych swej ogólnej liczby są Arabami. Dzielą się oni na osiadłych — mieszkańców miast oraz wieśniaków i koczowników — wędrowne plemiona Beduinów, trudniące się hodowlą wielbłądów i owiec w pustyni. W górskich okolicach Iraku mieszkają plemiona Kurdów, stanowiących około 16 proc. ludności. Kurdowie należą do rasy aryjskiej i są pokrewni Persom. Większość muzułmanów irackich należy do dwóch wyznań — sunnickiego i szyickiego. Sunnici noszą swą nazwę od Sunny czyli Tradycji — tradycji prorockiej, która jest odrzu-



Portret J. K. M. Feysala II

Malował S. Norblin

cana przez Szyitów, przy czym ci ostatni czczą Alego, kuzyna i zięcia proroka Mahometa jako wcielenie Mądrości Bożej. Mniej liczni chrześcijanie należą przeważnie do kościoła chaldejskiego, bądź unickiego, bądź ortodoksyjnego.

Żydzi, których część mieszka tu podobno od czasów niewoli babilońskiej, stanowią znaczny procent mieszkańców głównych miast. Oprócz tych głównych odłamów ludności znajdują się pomniejsze sekty, jak Sabejczycy czyli czciciele gwiazd i Yezydzi, zwani czcicielami diabła, wierzący, że Bóg oddał szatanowi panowanie nad światem, należy więc być z nim w zgodzie, by się nie mścił, podczas gdy Pan Bóg w swej dobroci czci dla siebie nie wymaga. Wymawianie imienia szatana jest u Yezydów zakazane i mówią o nim jako o Aniele Pawiu, czcząc go pod postacią wykutego z miedzi ptaka.

KOLEBKA CYWILIZACJI

Z pradawnych miast i osad pozostały tylko ruiny, niemniej jednak imponują one nieraz swoim obszarem i zdumiewają wysokim stopniem sztuki i przedmiotów codziennego użytku, z których możemy poznać kulturę starożytnych mieszkańców tego kraju, Sumeryjczyków, Chaldejczyków, Asyryjczyków i Persów. Przed wojną zjeżdżali tu liczni turyści dla oglądania ruin Babilonu, Ninowy czy Ur, a prawdopodobnie po wojnie tak interesujący kraj jak Irak będzie znów często odwiedzany przez ludzi pragnących poznać barwny Wschód i jego zabytki, z którymi są związane piękne biblijne opowieści o Noem, Abrahamie, królu Nabuchodonozorze, Uczcie Baltazara i innych znanych każdemu z nas zdarzeniach Starego Testamentu.

W. Rajkowski

Salus Reipublicae Suprema Lex

DOBRO RZECZWPOSPOLITEJ NAJWYŻSZYM PRAWEM

Polska wielka, potężna, opróżniona nieśmiertelną aurą męczeństwa za wolność ludów i wiary — Polska utwierdzona niezłomną wolą Narodu, nawet w dniach najstraszniejszej klęski i niewoli, pokonując w duszy swej rozpacz, winna się zdobyć na wiekopomne czyny.

Polska wielka w duchu i prawdzie, powinna być wykuta naszymi rękami, naszą krwią.

SZLAKIEM ZWYCIĘSTWA

Brytyjczycy są narodem sportowym i stale wojnę porównują ze sportem. Jeden z polityków nawołuje do „przestrzegania zasad gry w golfa” w ramach toczącej się wojennej rozgrywki. A ktoś nie zna propagandowego afisza, na którym Churchill i Stalin, ubrani w sportowe spodenki grają piłką hitlerowską na boisku głoju ziemskiego?

Więc też i Libię porównano do boiska piłkarskiego. Doświadczeni taktycy sportowi przetrzymali z zimną krwią czteromiesięczne bombardowanie bramki aleksandryjskiej i ruszyli wreszcie do ataku. Doskonale grający napad, popierany pomocą formacji tylnych i skrzydłami R.A.F.-u, minął połowę boiska w Sollum i zbliża się do bramki przeciwnika w Benghazi.

Rozgrywki „ligi libijskiej” zaczęły się w połowie roku 1940. Pierwszy mecz zakończył się wygraną Brytyjczyków. Bramkę w Benghazi osiągnął Wavel w styczniu 1941 r. Napastnik „osi” Rommel w szybkim przeciwnatarciu doprowadził tylko do połowy boiska w Sollum. Z kolei jesienią 1941 Cunningham i Auchinleck doszli znowu do Benghazi. Rommel odbił piłkę do Gazali, a nawet po kilkumiesięcznej kombinacji w przebojowym biegu dotarł pod El Alamein. Obecnie Montgomery po decydującym meczu, zdaje się, za wzięcie puchar libijski na wyspę angielską.

Rzeczywiście, teren i taktyka wojny pustynnej przypominają jaskrawo arenę footballową. Teren nie jest co prawda idealnie równy, ale szkarpa libijska i skaliste wzniesienia Halfayi, Gazali, Zielonych Gór i inne nie wpływają zbyt silnie na przebieg walk. Taktyka zaś jest taka, że atak można odeprzeć tylko przeciwnikiem. Obrona istnieje tylko — jak w piłce nożnej — tuż pod bramką. Pustynia Zachodnia ma te bramki między morzem i bagnistymi depresjami: na wschodzie w El Alamein, na zachodzie w El Agheila.

Miejsca wielkich bitew mają swoją symbolikę brzmień. Jena. Wagram i Austerlitz brzmią jak armaty, Gorlice i Smoleńsk mowią o wielkich klęskach i pożarach, Verdun i Alkazar dźwięczą rycerskim uporem, Kosowe Pole i Warna łomoczą dzwonem żalobnym, Małogoszcz jest matką kłęski, Krehowce grają ułańską trąbką.

A cóż znaczą te kabalistyczne El Agheila, Mersa Matruh, Sidi Barrani, El Adem, okraszone kilku akordami dźwięków angielskich: Charring Cross, Knightsbridge i Włoskich: Giovanni Berta, Cirene?

Helioskop może podać wieść przez całą libijską pustynię w kilkunastu minutach. Rzućmy błysk helioskopu na przestrzeń Pustyni Zachodniej. Światło biegnie, jak po antenie, po dwu liniach: gładkiej asfaltowej szosy i toru kolejowego. Szosa lśni swą nieposzlakowaną czernią trzymając się prawie kurczowo morza, rozpryskuje się w kilka arterii w Mersa Matruh, biejeły wybojami pod Sidi Barrani. Śmiały mi zakołami wspina się ku Capuzzo i do Tobruku poczynając wypuszcza swe wojenne szczeniaki w Tobruku, Mechili, Dernie i dalej. Tu, w kraju zielonym, biegnie chwiej ku płynącemu wodom i ku ślicznym domkom osadników. Tor, dzieło wojsk brytyjskich, lśni się nieprzerwaną nicią aż po Bardie.

Kiedy Brygada Karpacka wracała po kampanii libijskiej, ostatni nocleg jej tygodniowego marszu wypadł w El Alamein. Jest to okolica, gdzie żółta kurzawa pustynna zaczyna mieszać się z białym piaskiem morskim, pierwsze figi czepiają się kurczowo gruntu, a powietrze pachnie morzem i olbrzymią przetrzeźnia. Było to z soboty na niedzielę 22 marca 1942. Kapelan III baonu ks. P. po Mszy św. połowej wygłosił kazanie, dziękując Bogu za szczęśliwy powrót Brygady. Z tego miejsca właśnie rozpoczęła się nasza pustynna wędrowka, gdyż o kilkadziesiąt mil stąd znajduje się Daba. Tydzień potem ks. kapelan zginął w katastrofie na Synaju, a w trzy miesiące na miejscu jego kazania huczały niemieckie armaty.

Na Zachodniej Pustyni obszar od Mersa Matruh na wschód aż po Alamein nie harmonizował z resztą przetrzeźni, przez którą przeszła największa w historii wojna. Zało teraz zobaczyło wzgórze Jezusa (Tel-el-Eisa) i beduiński sielska El Daba wszystkie rekwizyty nowoczesnego teatru wojennego. I tak od bram Aleksandrii aż po Agheila ciągnie się nieprzerwanie pasmo zdruzgotanych samolotów, dział, czołgów, pojazdów i amunicji. Jak zgnie owoce, wyrosłe na nawozie ludzkiej śmierci i cierpienia. Wśród nich jak ornamenty na kobiercu rysują się cmentarze.

Pierwsze miejsce pobytu Polaków na pustyni znaczy pierwszy polski grób w El Dabie. I już stąd poczynając, nie ma znaczniejszej miejscowości w Pustyni Zachodniej, gdzie nie było na cmentarnych krzyżach nazwiska polskiego.

Za czasów przestarzałych samolotów w okresie „Gladiatorów”, „Swordfishów”, „Macchi” i „Dornierów”, El Daba była strasznie daleko od frontu. Tak daleko, że tu były wszystkie składki zaopatrzenia brytyjskiego, amunicja, bomby lotnicze, paliwo,

piekarnie. Wszystko to było rozrzucone na olbrzymich obszarach, zamaskowane idealnie i wymagało wart ochronnych. III baon Brygady Karpackiej zostawił w tych wartych i w całym tu pobyć wiele wspomnień, splecionych z marzeń nocnych na bezkresnej pustyni, twardej ćwiczeń po nieokreślonym poligonie, rozspiewanej przyjaźni z członkami brytyjskiej rodziny i Wołnymi Francuzami i uśmiechów nad kolorową i miniaturową nędzą garstki Beduinów, osiadłych w maleńkiej oazie dabskiej. Nowozelandczyści pełnili tu warty, jak jacyś kabokli w dzunglach brazylijskich, półnaczy, w fantazyjnych kapelusikach, przy ognisku. Na innych posterunkach w dzień stali Beduini ze starannie szmatami obowiązanymi dwururkami. Obiekty chronione były tak ogromne, że np. na obojętnie wokoło drutów warty „A 1” trzeba było całej godziny. Czary działa się na warcie „A 2”, gdzie nikt nocą nie mógł trafić na wartownię.

Bo chodzenie po pustyni to wielka rzecz. Trzeba ciężkich doświadczeń, by zdobyć równowagę między obrotem ziemi i kolowrotem gwiazd. Trzeba umieć czytać w żywej mapie piasku i nocy. W El Dabie szaleją najstraszniejsze hamsiny. Prawie co trzeci dzień podnoszą się tak gęste burze piaskowe, że na krok nie widać, więcier zaś siecze, jak różga, lawinami piasku. Wtedy wszystko w naturze przysiadła na ziemi, czekając słońca.

Komunikaty wojenne kilka razy wspominały Fukę. Bo Fuka to bardzo ważny punkt. Pustynia libijska ma bardzo ciekawą skalistą szkarpe, biegnącą równoległe do morza, mniej lub więcej od niego odległą. Jest to jakby drugie piętro pustyni. W niektórych miejscach szkarpa ta podchodzi tak blisko do brzegu morskiego, że autostrada musi się na nią pięć. Tak też jest pod Fuką. Ze szkarpy w Fuku widać ogromny szmat pus-

tni i artyleria ustawiona tam może powstrzymać najłżejsze natarcie. Na szkarpie fuczniejszej rozsiadło się kilka wielkich lotnisk. Od Sidi Haneish zaczyna się obszar warowny Mersa Matruh — postrach wojsk Grazianiego. A więc niezmiernie pola minowe, zasieki, rowy, forty betonowe — dziesiątkami mil Sidi Haneish, przeorane pracą polskiego żołnierza, ma też śliczny błękit morza. Nie ma ono wszakże tej tęczy barw, co Mersa Matruh.

Matruh będzie zawsze nanizana na różniane wojennej naszej legendy. Dziś już mniej pamięta się niekończącą się falę nocnych bombardowań — które nie wydarły Brygadzie wiele ofiar — i twarą pracę w skałach nad umocnieniem i zaminowaniem wschodniego odcinka twierdzy, ile ów wspaniały widok ze szkarpy na półksiężycową zatokę o wodzie fiołkowej, błękitnej i różanej, okolonej koralami jeziorok i kąpiącej się w poszumie drzew. Jakże to było wspaniale mieszkać w pustym mieście, gdzie nie eden dom nie został się przed gromami wojny, a gdzie dach stano wiał tylko ogień artylerii!

Ciężko było opuszczać Mersa Matruh, wracając ze skrzyniami piwa do Sidi Hamza, na zachodni obwód twierdzy, gdzie znów żołnierz polski rzył ziemię pod fortyfikacje i miny. Jeszcze raz ogłądało się wtedy za siebie na ginącą wieżę kościółca i minaret meczetu w Matruh z „Charring Cross”, gdzie był punkt wodny i gdzie rozchodziły się drogi do Siwy i Sidi Barrani.

Najnudniejszy odcinek pustyni ciągnie się od Charring Cross przez Sidi Barrani (pozostało zeń niewiele gruzów) do Buk-Buk. Jednostajna równina czeka jak miłośnica na hamsiny. Dalej widać coraz więcej szczerzków samolotów i czołgów — tu było forte symfonii wojennej — zbliża się Halfaya. Kampanie libijskiej mają swoistą logikę. Nikt nie rozumiał, dla czego w poprzedniej rundzie padł Tobruk i nie broniła się Mersa Matruh, nikt nie wie, dla czego tym razem bezbronna oddała się Halfaya. „Hellfire pass” — „przełęcz ognia piekielnego” jest kunsztowną twierdzą. Od strony Egiptu wystrzela ona potworną skałą, najeżoną strzelnicami. Dwie szosy wiją się od jej stóp wielokrotnie w pokorze, niczym dotrą do jej szczytu. Na górze szczyrzy zęby otoczony minami fort Capuzzo, opodal świetnie zbudowana Bardia, kiedyś zmuszona do kapitulacji działami naszej artylerii. W dole ruiny Sollum z nowym zachwycającym błękitem morza.

Od Halfayi ciągną się nieprzerwanie cmentarze wojenne. Co krok odąd pobojojowska. Nie nie ma tam, jak w tych wszystkich na mapie znaczonych miejscowościach — pustynia i nazwa, czasem kilka ruin. Litania wojny: Gambut, Sidi Rezegh, El Duda, El Adem, Acroma, Knightsbridge, Gazala, Bir Hakeim. A w Srodku, jak ojciec tej gromadki, rozsiadł się bogaty w żelazo Tobruk. Rozwalony w straszny gruz, oblany wielokrotnie ogniem i żelazem, huczący od trzech lat bombami, z setką statków rozbitych w porcie. Na gruzach Tobruku powieja dziś brytyjski „Union Jack”. I błąka się echo polskiej mowy.

NA EKRANIE ŚWIATA

BOHATERSKIE IGRANIE Z OGNIEM

PODCZAS rozładowywania 25 tys. bomb-niewypałów w W. Brytanii było tylko 300 wypadków w ludziach. Te dane podał gen. mjr. Taylor na odczytanie wygłoszonym w New British Club w Bagdadzie o pracy brygad t. zw. „Bomb Disposal” zajmujących się rozładowywaniem niewypałów bombowych, lub bomb z opóźnionym działaniem. Wysoki stopień sprawności i bezpieczeństwa osiągnięty został po rocznych badaniach nad metodami pracy i wyszkoleniem personelu.

W tym czasie skonstruowano specjalne przyrządy pozwalające odkryć, gdzie znajdują się niewypały bombowe zaryte do głębokości 15 stóp w ziemi. Często jednak zagłębienie jest większe i sięga do 30 stóp. Dlatego nie cofnięto się przed zastosowaniem i innych metod, i wciągnięto do tej pracy nawet t. zw. poszukiwaczy źródła wody.

Po odnalezieniu bomby należy ustalić do jakiego typu ona należy, rozładować zapalnik i stwierdzić, czy grozi dalsze niebezpieczeństwo. Trzeba

przy tym często ominąć przyrząd sprzeciwiający się rozładowaniu zapalnika, a jeśli to bomba zegarowa, zatrzymać dalszy chód zegara. Niekiedy nie mogąc rozładować zapalnika na miejscu z powodu przyrządu zabezpieczającego, należy przewieźć bombę w bezpieczniejsze miejsce. Wynaleziony został przyrząd do zatrzymania chodu urządzenia zegarowego. Zasada działania tego przyrządu trzymana jest dotychczas w tajemnicy.

Liczne są wypadki szczęśliwego ocalenia przed eksplozją rozładowywanej właśnie bomby, bądź z powodu chwilowego oddalenia się pracującej brygady na posiłek, bądź przerwania pracy z powodu nalołu.

Gen. mjr. Taylor, który przez dłuższy czas był dowódcą tych brytyjskich brygad, kilkanaście razy znajdował się w sytuacjach, które jak się okazało, w najwyższym stopniu zagrażały jego życiu, lecz uratował się dzięki sprzyjającym okolicznościom.

TYGODNIOWY PRZEGLĄD WYDARZEŃ

W ANGLII UDERZONO W DZWONY



WYCIĘSKO bito w Anglii w dzwony w niedzielę 15 b. m. Po raz pierwszy od chwili wybuchu wojny sprzymierzeni odnieśli na polu bitwy triumf, który zmienia zasadnicze położenie strategiczne na jednym z teatrów wojny. „W ciągu ubiegłych trzech tygodni — mówił marsz. Smuts w Londynie — wielka zmiana nastąpiła na naszą korzyść w ogólnym położeniu wojennym. Tego samego zdania, rzecz ciekawa, było radio fińskie związane przecież z propagandą państw „osi”.

WYDARZENIA W AFRYCE rozwijają się obecnie szybko. W piątek dnia 13 b. m. 8. Armia zajęła Tobruk biorąc jeńców i uwalniając 4.000 Południowych Afrykańczyków, którzy przed pięciu miesiącami zostali tam wzięci do niewoli. Wojska „osi” oderwawszy się od nieprzyjaciela wycofują się pospiesznie na zachód dwiema drogami: wzdłuż morza poprzez Darnę i na Mekili przez pustynie. Wojska sojusznicy posuwają się z szybkością dochodzącą nieraz do 100 kilometrów na dobę, zajęły Darnę oraz Mekili i znalazły się w odległości 100 klm. od Benghazi. Wiadomo, że Rommel opuścił już Benghazi, które nie nadaje się do obrony. Prawdopodobnie wojska niemieckie będą próbowały stawić opór dopiero na południe od Benghazi pod El Agheila nad zatoką Syrta na drodze z Benghazi do Trypolisu. Między morzem a wklęsłościami pustynnymi znajduje się tam tylko wąskie, wygodne do obrony przejście, które porównać można do pozycji pod El Alamein (przystawia bułtka).

Już dwukrotnie w czasie tej wojny wojska „osi” pobite w Egipcie od dawna niemal bez walki całą Cyrenajką, by zatrzymać się dopiero na tym odległym punkcie bliżej swych baz dających im możliwość dogodniejszego przegrupowania się i przygotowania przeciwnatarcia. Prawdopodobnie i tym razem będą próbowały zastosować tę samą taktykę.

Położenie wroga nie jest wszakże tak łatwe jak w czasie poprzednich kampanii. Straty wojsk „osi” w Libii wynoszą już 75 tysięcy ludzi. Nie jest to tyle co w czasie odwrotu Grazianiego, kiedy 140 tysięcy Włochów wpadło w ręce angielskie, ale więcej niż w okresie zeszlatorocznej ofensywy, kiedy straty „osi” wyniosły 61 500 ludzi. Premier Churchill w mowie z dnia 12 b. m. stwierdził, że wojska „osi” straciły do tego dnia 500 czołgów i 1000 dział. Wynika z tego jednak, że rozporządzają one siłami, które pozwolą im stawić opór. Sprzymierzeni posiadają wszakże tym razem zdecydowaną przewagę lotniczą, co da im możliwość lepszego przeciwstawienia się nowej koncentracji wojsk „osi” w Trypolitanii. Wreszcie obecnie Rommel nie ma już spokojnych tyłów. W Tunisie wytworzył się bowiem front drugi, który ujął w kleszcze siły „osi” w Afryce.

WALKA O TUNIS rozpoczęła się. W dniu 14 b. m. w nocy wojska amerykańskie i angielskie przekroczyły, idąc z Algierii, granice Tunisu i zmierzają ku Bizercie, która jako

port i twierdza stanowi kluczową pozycję w tej części Morza Śródziemnego. W Bizercie wojska francuskie stawiają już opór lądującym Niemcom. Według dotychczasowych danych Niemcy zdolali wysadzić w Tunisie około 10 tysięcy ludzi, opanować niektóre lotniska i ściągnąć tam samolotami pewną ilość 14-tonowych czołgów. Niemiecki generał Nehring mianowany został głównodowodzącym wojsk „osi” w Tunisie.

Wojskami amerykańskimi dowodzi jak wiadomo gen. Eisenhower.

Leżąc do Bougie w Algierii nadchodzą dalsze posiłki sprzymierzonych, a lotnictwo oraz marynarka starają się udaremnnić wojskom „osi” dostęp do Tunisu.

Opanowane przez Niemców lotnisko pod tym miastem jest stale bombardowane. Ujawniono, że u brzegów Algierii zatopiono 13 łodzi podwodnych „osi”, a w jednym tylko dniu samoloty sojusznicy straciły 6 samolotów transportowych „osi” załadowanych żołnierzami niemieckimi. Bombardowano również Sardinie oraz po raz 6-ty Genuę, na którą zrzucono dwutonowe bomby wyrządzając tam, jak przynajmniej komunikaty włoskie, ogromne szkody.

BEZPOŚREDNIE NIEBEZPIECZEŃSTWO zarysowało się obecnie przed Włochami. Prem. Churchill oświadczył w swej mowie, że „niebawem będziemy mieli większe możliwości bombardowania Włoch” i że „Włochy będą miały obecnie sposobność lepszego zapoznania się z grozą wojny.” A gubernator Malty Lord Gort otwierając nowe lotnisko na tej wyspie zaznaczył, że dotychczas Malta prowadziła jedynie walki obronne, nadchodzi jednak chwila, kiedy stanie się ona bazą wypadową do uderzenia na Włochy. Lotnictwo maltańskie przeszło już zresztą do ofensywy bombardując stanowiska wroga w Tunisie.

Pogorszenie się położenia Włoch nie wpłynęło kojąco na stosunki włosko-niemieckie. W Tobruku doszło do starcia między żołnierzami włoskimi a niemieckimi. Dość prawdopodobnie również brzmia pogłoski o nieporozumieniach między Hitlerem a Mussolinim, który podobno odmówił udania się do Monachium, gdzie odbywają się ważne narady strategiczne z udziałem — jak donoszą — Rommla.

Narazie Włosi wynagradzają sobie klęskę w Libii obsadzaniem bezbronnej francuskiej Nicei i Korsyki, z której jak twierdzą, dobrowolicznie już nie ustąpią. Leżąc w tych miejscach Francji są mimo wszystko niepewne, a niebezpieczeństwo całkowitego wyrzucenia ich z Afryki jest bardzo realne. Być może dlatego Berlin, który niedawno jeszcze w mowie Hitlera bagatelizował desant amerykański w Afryce, obecnie stwierdza, że Tunis broniony będzie za wszelką cenę. Niemcy zaczęły podkreślać znaczenie dla przebiegu wojny trójkąta strategicznego Tunis — Sycylia —

Sardinia. A radio londyńskie doniosło o koncentracji wojsk niemieckich na Bałkanach, skąd dosyłała jest pomoc do Afryki. Nie jest wyłączone, że Niemcy myślą o jakiejś nowej dywersji.

Dość znamienne są również wiadomości o częściowej mobilizacji w Hiszpanii.

ZAGADNIENIE FRANCJI wysunęło się w tej sytuacji znowu na porządek dzienny. Obsadzenie wspólnie z Włochami całej Francji za wyjątkiem okręgu Toulon, gdzie stoi część neutralizowanej floty francuskiej, pociągnęło doniosłe następstwa. Układ o zawieszeniu broni między Francją a Niemcami podpisany pompatycznie w czerwcu 1940 r. w Compiègne został faktycznie przekreślony. Stanowił on podstawę dotychczasowych stosunków francusko-niemieckich i był głównym oparciem dla rządu Vichy. Okupacja przez wojska „osi” całej Francji, oderwanie się od Vichy Afryki Północnej wytworzyło nową sytuację. Rząd Vichy z marsz. Petainem i Lavałem na czele nie rozporządza już żadnym niezależnym skrawkiem ziemi francuskiej. Nadzieje jego, że przez współpracę z Niemcami uda mu się zabezpieczyć przed okupacją włoską — zawiody również. Wreszcie z rządu filarów polityki Vichy wylała się jeden z jej głównych współtwórców — adm. Darlan, naczelny wódz francuskich sił zbrojnych i zastępca marsz. Petaina jako szefa państwa.

ADM. DARLAN znajdował się w Afryce w chwili desantu amerykańsko-brytyjskiego jako pełnomocnik Petaina. Oświadczył on wówczas, że zorganizuje tam opór na wypadek „najazdu”. Opór ten stawił istotnie wojskom sojusznikom przez trzy dni. Widząc jednak bezcelowość walki i zorientowany w siłę desantu zgodził się na zawieszenie broni. Był przez pewien czas internowany, lecz następnie odzyskał wolność. Wówczas wydał rozkaz do wojsk i urzędów francuskich w Afryce, stwierdzając, że uważa się nadal za pełnomocnika marsz. Petaina, lecz ten — jego zdaniem — nie może już dziś swobodnie „wyrzącać narodowi francuskiemu swych myśli”. Żołnierze i urzędy francuskie w Afryce, mówił rozkaz, spełniają wolę adm. Darlana, pozostawając jednak będą wierni przysiędze złożonej marsz. Petain. Adm. Darlan mianował generała Giraud, znanego z ucieczki z niewoli niemieckiej, głównodowodzącym wojsk francuskich w Afryce. W poprzednim rozkazie adm. Darlan stwierdzał, że działa za zgodą „władz amerykańskich”, które jednak ograniczają umowę z nim do spraw ściśle wojskowych. Prez. Roosevelt oświadczył, że ma ona charakter tymczasowy. W ten sposób w Afryce powstał nowy ośrodek władzy francuskiej wywodzący się z Vichy i podający się za jego

kontynuację prawną, lecz działający w porozumieniu z władzami amerykańskimi, a niezależnie od Niemców. Tymczasem marsz. Petain wyparł się adm. Darlana stwierdzając, że działa on wbrew jego rozkazom. Darlan nie uznał również gen. de Gaulle, który jeszcze raz wystąpił przeciw rozmowom z „przedstawicielami Vichy”. Generał Giraud wydał ze swej strony rozkaz, w którym zaznaczył, że jego celem jest wyrzucenie Niemców i Włochów najpierw z Afryki a następnie z Francji.

NA FRONCIE SOWIECKIM nie odczuło do 18 b. m. zmiany w basenie Morza Śródziemnego. Niemcy wznowili nawet natarcia pod Stalingradem, jak gdyby dla podkreślenia, że sytuacja w Afryce nie odwieździe ich od celów, które wyznaczyli sobie na Wschodzie. Cele te nie zostały osiągnięte. I w tym roku kampania sowiecka nie doznała się ostatecznego rozgrania. Niemcy przyznają sami, że Rosjanie przygotowują się znowu do ofensyw zimowych. Pofolgowanie Niemców na Wschodzie ściągnęłoby więc zapewne na nich najgorsze następstwa. Gen. Dietmar wojskowy rzecznik radia niemieckiego tak zobrazował położenie: „U początku wojny Rzesza była bliska zwycięstwa. Załaga z Rosją wysunął przed Niemcami głęboką problematykę tej wojny. Teraz jednak nie chodzi już o problematykę, lecz o walkę o byt”.

Rosja ze swej strony czeka wciąż jakoby na „drugi front”. Stalin w mowie swej zaznaczył, że wojna w Afryce odciąga 4 dywizje niemieckie i 11 włoskich. A prem. Churchill ujął obecnie, że gdy w czasie swej wizyty w Moskwie przedłożył Stalinowi opracowany już plan kampanii w Afryce, rozmowa jego uznał przygotowywane uderzenie za pomoc „nieostateczną”. Mimo to nie ulega wątpliwości, że znaczenie jego jest olbrzymie. Zdaniem marsz. Smutsa, „posiadanie całej Afryki Półn., łącznie z przewagą lotniczą i w oparciu o tamtejsze lotniska oznacza dwie rzeczy: 1) Odzyskanie Morza Śródziemnego jako najkrótszej linii łączności w kierunku wschodnim, co pozwoli wprowadzić oszczędności na dużą skalę w żegludze, a po 2) zdobycie nowych bezpiecznych baz, z których będą mogły wyruszyć działania zaczepne na lądzie, morzu i w powietrzu. Kto bowiem posiada Morze Śródziemne trzyma w ręku klucz do Europy”. Marsz. Smuts wywołał wreszcie, że dziś można już stawiać domniemania, że wojna skończy się w roku 1944. Liczy się on jednak z ciężkimi jeszcze walkami. Również prem. Churchill przestrzegł przed nadmiernym optymizmem twierdząc, że czeka nas jeszcze trudna droga do zwycięstwa.

NA PACYFIKU doszło do nowej bitwy morskiej w pobliżu wyspy Guadalcanar. Straty obu stron były znaczne. Japończycy zostali jednak zmuszeni do odwrotu, tracąc 11 okrętów wojennych, w tym pancernik i trzy ciężkie krążowniki oraz 12 statków transportowych załadowanych wojskiem. Dywersja japońska, mająca zapewne na celu odciążenie floty amerykańskiej od brzegów Afryki, jak dotychczas nie powiodła się.



Gen. Eisenhower

Od Redakcji

W. Rski. Dziękujemy za artykuł, bardzo dla nas aktualny i pozytywny. Oczywiście — drukujemy.

Pchor. Mieczysław Sz. Forma wiersza o „zbikach” nie pozwala zakwalifikować go do druku. Zwłaszcza rytmika szwankuje w wielu miejscach.

Jan B-icz. Dziękujemy za piękny artykuł — drukujemy.

Z WĘDROWNYCH SZLAKÓW

Osiemdziesiąt obozów porozrzucanych po całej Szwajcarii — oto miejsce życia w tej chwili dwunastu tysięcy internowanych w tym kraju żołnierzy polskich. Gdy czytamy w wychodzącym tam „Gońcu Obozowym” nazwy miejscowości, gdzie znajdują się te obozy i patrzymy na mapę, widzimy, że są one rozsiane po całej Konfederacji, zarówno w części niemieckiej, jak włoskiej i francuskiej. Niektórych miejscowości nie ma na mapie, pewnie są to bardzo małe osady. Nazwy innych przypominają nam, że w tych samych miejscach bawili przed wiekiem emigranci po powstaniu 1831 roku, w innych rozbitkowie roku 1863, w jeszcze innych organizatorzy późniejszych walk niepodległościowych, studenci poszukujący w Szwajcarii wiedzy, czy robotnicy przychodzący za chlebem. Powtarza się ten sam szlak tułaczki polskiej, choć za każdym razem w odmiennych okolicznościach przemierzany.

W liście do znajomego w Anglii, pisanym przez żołnierza polskiego internowanego w Szwajcarii, wyjątki z którego to listu zamieszcza „Polska Walcząca” zaopatrując je komentarzami Adama Ordegi. podanymi poniżej, czytamy:

„Przed wszystkim daje się odczuwać silnie brak kontaktu z wami”. Te słowa przypominają o naszych nie wypełnionych obowiązkach wobec tej grupy polskiej, zamkniętej dziś w kraju neutralnym, ciasno opasanym przez pierścien państw totalnych. Przecież to niedawno upłynął drugi rok internowania naszych kolegów. Przecież są w kraju, w którym, mimo całego jego przywiązania do swobód i jego wysokiej dojrzałości politycznej, propagandą niemiecką i włoską stale ludzi przeciwko Polsce. Przecież znajdują się na ziemi, która walczy sama z dużymi trudnościami gospodarczymi, boryka się z zagadnieniami związanymi z wyższością własnej ludności. Przecież nie trzeba zapominać, iż przebywanie przez tak długi czas poważnej ilości obcych jest samo w sobie już zjawiskiem w życiu narodu niezwykłym, anormalnym, rodzącym trudności i powikłania.

Te okoliczności wskazują, że życie internowanych w fazie obecnej i dla nich samych i dla Szwajcarów kryje w sobie wiele zagadnień ciężkich, przykrych. Tym ludziom, odciętym od kraju i od waleczących polskich żołnierzy, trzeba dawać poczucie łączności duchowej. Jest zrozumiałe, jak oni sami odczuwają tę potrzebę. Nie możemy jej zaspokoić przez prasę polską. Nie ma dziś — poza prasą tajną w kraju — wolnej prasy polskiej na kontynencie. A nawet gdyby była, nie przeszłaby przez sito cenzury.

Nie można tej łączności duchowej podtrzymać przez książkę polską; tej cenzura także nie przepuści, a poza tym olbrzymi brak tej książki odczuwa się dziś wszędzie. Nie dziw też, że wśród internowanych w Szwajcarii głód książki polskiej daje się bardzo silnie odczuwać.

Gdy w tej kampanii — wedle słów listu stamtąd — odpada broń tak ważna jak książka i wolna prasa, tym większa odpowiedzialność a zarazem wdzięczniejsze zadanie spada na żywe polskie słowo, na radio pol-

skie — na tę formę naszej broni i walki, która jest najbardziej dostępna i stoi w zasięgu naszych możliwości. Poprzez radio możemy nawiązać łączność duchową z internowanymi, dać im odczuć, że o nich nie zapominamy i że stale o nich myślimy. Polska, pozbawiona dziś chwilowo swego terytorium, jest przecież wszędzie tam, gdzie są Polacy.

My także nie mamy tych wszystkich wiadomości o życiu internowanych, których jesteśmy spragnieni. Tej naszej ciekawości nie zaspokoją wyprute z żywych nerwów blade listy, które przechodzą przesłuchaniem przez ówówek tyłu cenzorów. Zwłaszcza ciekawość nasza obraca się wciąż wokół jednej, naczelniej zresztą sprawy: jak wygląda codziennie dnia powszedniego w życiu internowanych.

Z różnych napomknętych wychodzącego w Szwajcarii „Gońca Obozowego” wnioskować można, że warunki wyższościowe są naogół dobre. Może zmieniły się na gorsze w porównaniu z początkowym okresem internowania, ale ta zmiana jest także

udziałem całej ludności szwajcarskiej. Gorzej przedstawia się sprawa odzieży: tu są braki.

Nie potrzeba także zbyt dużej wyobraźni, by uzmysłowić sobie, że rozmieszczenie po osiemdziesięciu obozach rozszaniach w całym kraju stwarza tyleż niemal różnych warunków bytowania zależnych od miejscowych stosunków. Internowani pracują przy budowie dróg i mostów, regulacji rzek, wyrębie lasów, rozspani są po wielu gospodarstwach chłopskich. W pojedynkę u „Bambrow” — to zdaje się los bardzo wielu. Karczują lasy na przedmieściach Lugano, budują drogę przez górską przełęcz w alpejskim kantonie Schwyz, pracują w warsztatach artystyczno rzemieślniczych Burgdorfu, pracują przy drenach w Bevaix, uczą się w obozie licealnym i uniwersyteckim.

„Rozproszeni jesteśmy — stajemy się „Gońcem Obozowym” — po całej Szwajcarii. Od północy do południa, od wschodu do zachodu tego kraju roją się pracujące rzesze naszych żołnierzy”.

Wielu z nich ciężko bardzo pracuje fizycznie. Wielu poznaje rzeczywistość życia szwajcarskiego we wszystkich jego przekrojach. I tu występuje rys charakterystyczny i dodatni: naogół mimo bardzo ciężkiej nieraz pracy, mimo że warunki miejscowe tu i ówdzie rozmaicie się układają, ludzie nasi zachowują dodatni stosunek wobec Szwajcarii.

Rozspanianie po całym kraju, wspólne nieraz mieszkanie z rodzinami szwajcarskimi, dało im możliwość pogłębienia tego stosunku. Internowani widzą wielkie wartości Szwajcarii — ograniczoność wspólnoty federalnej, która narosła od trzech do dziesięciu lat 22 związkowych kantonów. Odczuwają, że ten naród pozbawiony marzeń imperializmu na zewnątrz, wysiłił się niebawym w kierunku wewnętrznego rozwoju dając, według słusznego słowa jednego z internowanych, historię szwajcarskiej treści: wielkości w małym. Zbliżyli się do wsi szwajcarskiej.

Adam Ordega

Z PIOSENKĄ NA USTACH

Piosenka jest dla żołnierza czymś więcej, niż zwykłym utworem śpiewno-muzycznym. To często jego pociesycielka w smutku i tęsknocie, to jedyna nieraz rozrywka mogąca rozweselić i zabawić, lub nawet podnieść na duchu. Jakże inaczej maszeruje się z piosenką na ustach! Razno, obojętne. To nie, że maszeruje się z pod stóp tuman kurzu łoczą się do gardła. Choć obolałe nogi z trudem już dźwigają ciężar pudrowych butów, w takt, w rytm piosenki oddział kroczy radośnie i wesoło. Piosenka bowiem daje radość, wywołuje uśmiech, a z uśmiechem na ustach o ileż łatwiej przewyciężą się wszelakie trudności. Albo wieczorem, przy ognisku, w nastrojowej piosence często może żołnierz wyśpiewać uczucia, które mu ciężko na sercu, wyrazić myśli, jakie tłoczą mu się do głowy, a których nieraz nie potrafi wypowiedzieć własnymi słowami. Szczególnie dziś, zdala od Kraju, gdy tęskni się do swoich, ileż może przynieść żołnierzowi rzetelną, a bezpretensjonalną piosenką. I jeszcze jedno: w piosence, zarówno w słowach jak i melodii uzewnętrznia się duch danego narodu. Jego charakter, upodobania, fantazja. A żołnierz polski, który z piosenką przemierza lądy Europy, Azji i Afryki, który styka się z Amerykanami i Australijczykami, cały niemal świat zaznajamia z Polską lepiej i bardziej bezpośrednio, niż nie jeden autor wypracowanej, propagandowej broszury.

Niestety jednak, nie wszystkie piosenki spełniają to szlachetne zadanie. Oto maszeruje w oddali zwarty oddział z karabinami. Na przedzie idzie oficer. Żołnierze powracają z ćwiczeń ze śpiewem. Posłuchajmy. Piosenka opiewa nainownego wojaka, który z pierwszego wejrzenia zakochał się w spotkanym na ulicy dziewczęciu. Na piśmie wyznania miłośne żołnierza, uroczę dziewczęce odpowiada:

„Czy pan w portfelu ma dolary,
Bo miłość to jest dla mnie kawał
stary,

Ja uspokoję, do snu ukolyszę,
Tylko dolary daj”.

W tej wersji romantyczna ta piosenka śpiewana była u nas w wojsku jeszcze przed wojną. Niedawno, gdy oddziały nasze znalazły się w Iranie, piosenka ta o tyle została zmieniona, że „dolary” przewalutowano na: „tunany”. Obecnie zaś, po przybyciu do Iraku, anonimowy autor tego tak powszechnie śpiewanego dziś utworu szybko zmienił „tunany” na „dynary”. Słowem, piosenka sprawnie została przystosowana do warunków miejscowych. Nie załamujemy jednak ręk z racji jednego, nieudanego utworu. Bo wzmianka zaś jest wykonywany inny, o taki kwiatulek:

„Pamiętasz to upojne tango,
Na którym (?) razem bawiliśmy się,
Tańczyłaś z całą falangą (!!!!)
A ja samotny, zasmucony stał.

Więc nie bądź złamaną, dziewczeczko
I powiedz, jeśli masz żal.

Twarz twoja jest jak słoneczko
I z pełną nadzieją patrz w dal!

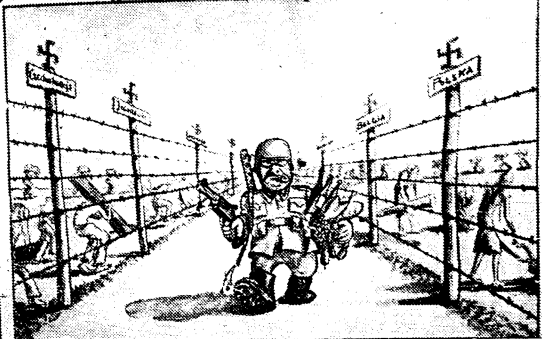
Patrzę nie w dal, ale na śpiewających.
„Chłopcy” nie są to młodzi rekruci,
ale już przeważnie mężczyźni po trzydziestce, z których nie jeden ma żonę i dorastające dzieci. I śpiewają takie oto horendalne bzdurstwa

bez sensu za grosz, nie rozumiejąc z tego ani słowa, chociaż to przecież po polsku. Jest jeszcze skandaliczna profanacja Hymnu Narodowego, gdzie słowa „Jeszcze Polska nie zginęła” śpiewane są na melodię ukraińskiej dumki: „Oj ne chody Hryciu”. Oto mniej więcej nowy reperter. A tymczasem nie tylko dość jest słyszanych, jakże aktualnych, starych piosenek, choćby takich, jak: „Bo taki los wypadł nam, że dziś tu, a jutro tam”, są także nowe wręcz doskonałe, niestety, mało komu znane. Wielkie wydarzenia rodzą nowe talenty. Ludzie, którzy dotąd mało pisali, lub nawet w ogóle nie parali się piórem, teraz pod wpływem świeżych przeżyć i wrażeń piszą rzeczy nieraz wprost świetne. Wiemy, że w niejednym pułku jest sporo młodych zdolnych ludzi, którzy napisali dobrą, żołnierską, polską piosenkę. Niewiadomo atoli, z jakiej przyczyny utwory te z upodobaniem śpiewane przez najbliższych kolegów autora, nie wychodzą poza oddział. Wielka to szkoda dla ogółu.

Autorzy piosenek! Nadsyłajcie do naszej redakcji swoje utwory, a my postaramy się je ogłosić, jeśli okażą się dobre.

T. W.

Jak Niemcy wyobrażają sobie, który kraj w Europie



rys. Wl. Kowańko